SKRZYDŁA
Wiadomości ze Świata

"WINGS"—
PERIODICAL OF THE
POLISH AIR FORCE

PISMO ŻOŁNIERZY POLSKICH SIŁ POW.

Rok V, Nr. 1/427 | 15 STYCZEŃ 1944 r. | Cena 6d

Radio-mechanik przy pracy—Radio mechanic at work

Foto. J. Pujdak. Dyw. "Dęblin."

TREŚĆ NUMERU:
W Kanadzie na Oxfordach.—*inż. pil. Z. Dąbrowski.* **Trzeba rozumieć Europę.**—*K. Lubicz.* **Co czytać?**—*Szperacz.* **Na kwaterze.**—*St. Sęp-Sarzyński.* **Lotnictwo Komunikacyjne.**—*Bolesław Pomian.* **Z lotnisk i ze stacji. Humor krzepi.**—*Tony.* **Historia Ciapka.** *Marek Gramski.*

ENGLISH ARTICLES:
Interview with a Polish Underground Leader.—*A. Płodowski.* **A visit of the Thunderbolt.**—*S. S.* **Polish Air Ace Volunteers to Fight Japs. The Reason for which we are Fighting this War.**—*Jan Rembieliński.* **Marginalia on Reymont's "Peasants."**—*Victor Stan.* **Letters to the Editor.**

W KANADZIE NA OXFORDACH

Rok temu, w mgliste i dżdżyste popołudnie, wpłynęliśmy na wody szkockie i zarzucili kotwicę w szerokim ujściu rzeki Clyde. Przywitały nas chłód i gorsza od niego wilgoć. Pogodna Kanada, owocami i mlekiem płynąca, była daleko za nami. Pozostały tylko wspomnienia.

A było to tak – z tym wyjazdem do kanadyjskiej S.F.T.S. Pewnego dnia, z pomiędzy absolwentów ostatniego kursu Polaków w C. wybrano niewielką grupę i wysłano ją do Dispatch Centr., wkrótce, wybrańcy ci, wraz z setkami Anglików ładowali się do pociągu, by o świcie dnia następnego znaleść się na Steamer'ze. W promieniu paru mil widać było kilkanaście dużych statków. Zaczęło się typowanie: ten, tamten, ów trzykominowiec. Nagle powstaje zamieszanie: "patrzcie, tam na prawo, ależ to Batory" – woła ktoś. "Patrzcie, kierujemy się do niego". Istotnie, poczciwy Steamer, sapiąc i wyrzucając kłęby dymu, zbliżał się do Batorego. W parę chwil potem wstępowaliśmy na jego pokład.

Czuliśmy się dumni, że jesteśmy na suwerennym gruncie polskim. Czuliśmy się dumni, że taki żeglarski naród, jakim jest Wielka Brytania korzysta z polskiego transportu. Że to nasz statek przewozi tych przyszłych angielskich pilotów i obserwatorów – może nie jednego przyszłego asa....

Na widok portretu naszego króla, znajdującego się w głównym halu padają pytania: "Kto to jest?" Kiedy panował?" Anglicy cieszą się jak dzieci, gdy mogą prawidłowo wymówić nazwę statku.

S. M. Batory – jakże różny od ongiś luksusowego *linera*. Zniknęły żywe kolory. W barze, na słonecznym pokładzie, nie brzękają kieliszki, nie słychać beztroskich rozmów. Nie ma barmana, za to prycze wypełniają każde wolne miesjce. Na pokładach też się dużo zmieniło.

Wypłynęliśmy. Mijamy urozmaicone brzegi Szkocji, wychodzimy na pełne morze. Koniec maja. Atlantyk jest burzliwy, ciągle zmieniający swój wygląd. O łodziach, torpedach, czy bombach wogóle nie myślimy – przecież jesteśmy na polskim statku! Poznajemy część polskiej załogi i w jej towarzystwie czas szybko mija.

Mgła leży na wodzie. Ponure ryki syren zwiastują obecność wielu statków. Wychodzę na górny pokład. W dali, ponad mgłą, wyłaniają się wierzchołki świerków. To ląd. Przybyliśmy do Kanady.

Na Stacji Zbornej nastąpiły rozdziały, przydziały i t.p. Znalazlszy się w grupie dwu-silnikowców, wkrótce podążałem przez Montreal na Daleki Zachód do Medicine Hat (Alberta). Zacząłem sobie zdawać sprawę z odległości w Kanadzie: z Moncton do Montrealu 660 mil, z Montrealu do Medicine Hat 2060 mil, skąd do wybrzeży Pacyfiku jest jeszcze 800 mil. Przy takich odległościach nie wydaje się dziwnym, że każdy żołnierz na dalszy przejazd służbowy lub posting otrzymuje sypialne miejsce w wagonie. Natomiast o wysokim standarcie życia świadczy fakt, że podczas podróży ów żołnierz (bez względu na stopień) ma łóżko codziennie zasłane przez murzyna, który z niebywałą zręcznością rozkłada snieżno-białe prześcieradła (co noc czysta zmiana), rozkłada koce i t.d. Ów żołnierz otrzymuje również bezpłatnie wyżywienie w wagonie restauracyjnym na sumę $2.70 dziennie.

Przejazd z Montrealu do Medicine Hat trwa 2 i poł doby. Jest to cała eskapada – jednak i ona dobiega końca. Wreszcie jesteśmy u celu.

No. 34 S.F.T.S. (podaję jej nazwę, ponieważ nie jest ona otoczona tajemnicą i w korespondencji nie wymagane jest posługiwanie się wymyślnym szyfrem) mieści się na terenie obozu, położonego parę mil od miasta Medicine Hat o 10.000 mieszkańcach. Jest to jeden z wielu ośrodków treningowych, rozsianych po całej Kanadzie i objętych t.zw. *Empire Air Training Scheme*. Gdy potem, podczas lotów, widziałem dziesiątki takich ośrodków, gdy stanęła mi w oczach ogromna stacja zborna w Moncton, ciągle jeszcze powiększana, zrozumiałem, do jak ogromnych rozmiarów rozbudowywane jest lotnictwo *British Commonwealth of Nations*, jak wielkie możliwości w tej dziedzinie posiadają Narody Zjednoczone.

Nasz trening pod względem organizacji był bez zarzutu. Nad wszystkim czuwał ówczesny C.F.I. W/Cd. Scragg, którego bacznemu oku nic nie uszło uwagi. Nie wiem, kto więcej drżał przed nim: uczniowie czy instruktorzy. Fanatyk pracy, trzymał całą szkołę w dyscyplinie i porządku.

Lataliśmy na Oxfordach. Ćwiczenia poza normalnymi zadaniami, obejmowały naloty na ciemnię, posługiwanie się celownikiem bombardierskim, długie loty nawigacyjne łącznie z obsługą radia i fotografią, nocne przeloty. Dużo czasu było poświęconego t.zw. "suchej zaprawie" na ziemi. Poza tym, oczywiście, były wykłady.

Trafiliśmy na pełnię lata. Mieliśmy wrażenie, że żyjemy na patelni. Medicine Hat położona jest bowien na golej preerii, 2300 stóp n.p.m. Drzewa, o ile jakie zostały, przytuliły się do głębokich jarów rzecznych, nieraz wysychających w porze letniej. W pobliżu rzeka South Saskatchewan toczyła swe brudne wody. Niestety nie nadawała się ona do kąpieli, podobnie jak i kilka pobliskich jezior, gdzie stopniowo obniżający się poziomy gorzkiej wody odznaczał się zdała widocznymi białymi pasami osadów.

Choć niegościnna, preria kanadyjska jest wartościowa ze względu na żyzną glebę oraz ogromne możliwości dla rozwoju chodowli. To też nie jest ona dzisiaj bezpańską krainą z tabunami dzikich koni. Preria została wymierzona i podzielona na sześcio milowe kwadraty. Ich granicę wyznaczono płotem kolczastym. Powstały liczne farmy. Niestety, w prowincji Alberta, przyszły złe lata dla uprawy: sucha, upalna pogoda wyniszczyła plony niejednego farmera. I po dziś dzień znaleźć można niejedno porzucone gospodarstwo, którego zrujnowany właściciel żyje na tak zwanym "dole" – zapomodze, wypłacznej przez rząd. Nie jeden elewator zbożowy, zbudowany w okresie boomu pszenicznego i tak charakterystyczny dla kanadyjskich osiedli, oddawna nie widział zboża. Ostatnio dużo zrobiono w dziedzinie nawodnienia, jednak zło nie zostało opanowane.

Latali śmy nad tą prerią i z powietrza wydawała się ona jeszcze bardziej pusta, o jednolitym szaro-zielonym kolorze. Od czasu do czasu przechodziły nad nią burze termiczne, nieraz połączone z gradem, którego wielkość przekraczała to wszystko, co w Polsce mogliśmy widzieć. Te burze odświeżały powietrze, ale upał szybko wracał. Mimo wentylatorów, w barakach było duszno. Wysoką temperaturę odczuwali nietylko ludzie, ale i maszyny. Silniki naszych Oxfordów przegrzewały się przy lada okazji, a temperatura powietrza 35-40 stopni C. w połączeniu z wysokością lotniska 2300 stóp nad poziom morza stwarzały ciężkie warunki dla startu. *Runway'e* "nie wystarczały". Byłyn dnie, kiedy trzeba było przerywać loty.

Mimo upałów nastrój był dobry. W wolnych chwilach od zajęć, wieczorami, odbywaliśmy długie wycieczki konno; jeździliśmy także do miasta – do kina lub na przekąski (n.b. w Kanadzie liczne restauracje są otwarte do 3 rano i można tam dostać to wszystko, co napisane jest w menu). Byliśmy zapraszani do naszych Rodaków, osiadłych od lat w Kandazie. I tu niech mi wolno będzie podziękować za ich serdeczną gościnność i staropolską wylewność, za jaką witali i przyjmowali zarówno nas jak i naszych poprzedników.

W miarę postępów w lataniu, zaczęliśmy się zapuszczać na coraz dalsze przeloty. Około 150-200 mil na zachód rozpoczynało się pasmo Gór Skalistych. Pewnego dnia z jednym poleciałem z kolegów nad góry. Przy doskonałej przejrzystości powietrza wyglądały one wspaniale. Groźne turnie piętrzyły się poszarpanymi graniami do wys. 10.000-13.000 stóp. Gdzieś, daleko w dole, błyszczała wstęga rzeki. Na lewo leżała gładka tafla jeziora. Zaczęły podnosić się *comulusy*. Częściowo przesłaniając stoki, nadawały one bajeczny wygląd śniegiem pokrytym wierzchołkom, lśniącym w słońcu. Chciało się lecieć dalej i dalej... Jednak mój towarzysz zwraca uwagę na czas. Trzeba wracać. Skręt 180° i wkrótce byłem nad Turner Valley – kanadyjskim zagłębiem naftowym.

Wracałem do szkoły nad pustą, gołą prerią.

Wtedy to postanowiłem, że muszę pojechać do Gór Skalistych – choć tylko na parę dni. Okazja nadarzyła się: otrzymujemy długi "*week-end off*". Po 9 godz. spędzonych w pociągu, dobiłem o świcie do Banff. Jest to kanadyjskie Zakopane, o przepięknym położeniu, gdzie woda, las i skała złożyły się, aby stworzyć widoki, których zapomnieć nie można.

Są właśnie "Dni Indyjskie" – wielkie święto miejscowe. Wieczorem, przy świetle zachodzącego słońca, odbywa się koncert i tańce. Nie potrzeba dekoracji: natura sama je przewidziała. Wrażenie raptownie mija, gdy zaczynam się rozglądać za owymi potomkami sławnych Indian. Gdzie oni są? Koło *wigwamów* kręcą się wprawdzie w pseudo-narodowych strojach jacyś czerwono-skórzy, są orle pióra, ale jakże to różne od tego co w naszej wyobraźni zostało po wielu nieprzespanych nocach, spędzonych nad książką o Dzikim Zachodzie.

W czasie prelekcji dowiaduję się, że dzieci indyjskie, chodzące do szkół, marzą o przyłożeniu się do ogólnego "wysiłku wojennego", akcentują to przemaszerowaniem w trójkach, wysoko machając rękami...

Następują tańce, a po nich zapowiedziane śpiewy. "Tu może będzie coś bardziej indiańskiego" – myślę sobie. Wychodzi tymczasem takie Bawole Oko i zaczyna *You are my sunshine, my lovely sunshine*.... Tylko *tap-dancu* i saksofonu brakowało do kompletu!... Nie tylko ja jestem rozczarowany. Poznana właśnie Amerykanka (przyjechała z Nowego Jorku na *holiday* – tylko 3000 mil!) określa to w następujących słowach: "Indjanie – tamci wielcy, silni i zdrowi, zostali w przeszłości, w legendzie. Ci, co żyją teraz, nie mają z tamtymi nic wspólnego – chyba ciemną skórę".

Ostatniego dnia pobytu w Bauff wychodzę na Sulphur Mt. Nie jest to żadna wspinaczka, ale z wierzchołka o wys. 8000 stóp roztacza się cudny widok. Zresztą na brak widoków nie można tu narzekać. Wystarczy wyjść 2-3 mile poza Bauff, aby znaleść się w krainie nienaruszonej przez człowieka, gdzie bobry spokojnie budują swoje tamy, a wyżej, po skałach, skaczą kozły górskie. Poco tak daleko – czasem do centrum Bauff dostanie się stado jeleni lub małe niedźwiadki, wprowadzając ogólne zamieszanie w ruchu, a radość u wszystkich foto-amatorów.

Powoli kurs dobiegał końca. Pożegnaliśmy już 3 turnusy i wreszcie na nas przychodziła kolej opuścić szkołę. Ostatnie zadania, ostatnie loty w szyku, przeloty nocne... Wypełnianie książek lotów. Zdawna oczekiwany *Wing-dinner*. Przewienia. Toast "*Gentlemen – The King*" wzniesiony przez naszego opiekuna kpt. W-skiego, jedynego instruktora Polaka, a zarazem d-cę *flight*'u. Toast: "*The Polish President*" wzniesiony przez seniora-ucznia.

Nazajutrz uroczysta *Wing-parade*. Angielskim krokiem, każdy po kolei podchodził do Komendanta Stacji, który przypinał *Wingi* pilota i gratulował ukończenia szkoły. My dostajemy polskie gapy – na czas dostarczone z Anglii.

Wieczorem wyjazd. Znowu mijamy Reginę, Winnipeg, przejeżdżamy wzdłuż malowniczych wybrzeży Jeziora Górnego. W New Brunswick witają nas sławne lasy kanadyjskie. Jest jesień i drzewa zdają się płonąć w bogactwie kolorów. Na czoło wybija się klon, który przybiera tu barwę buraczkowo-karminową; widoczny zdaleka na tle żółtych brzóz i ciemnozielonych świerków, klon nie na próżno znajduje się w herbie Kanady. Mijamy rzeki, jeziora. Odbijaje się w nich te bajecznie kolorowe drzewa, potęgując jeszcze wrażenie i stwarzając widoki, od których oczy trudno oderwać. Chciałoby się tam zostać...

Znowu Moncton. Ponieważ nie zanosiło się na szybki powrót do Europy, dostajemy 10-dniowy urlop. Postanawiam z kolegą Sw. pojechać do Toronto i do Nowego Yorku.

W Toronto zostaliśmy b. serdecznie przyjęci przez Rodaków, którzy wyjechali do Kanady po upadku Francji i obecnie pracują tam w przemyśle lotniczym. Niewątpliwie praca ich tyle samo jest warta, co niejednego z nas na terenie Wielkiej Brytanii.

O pobycie w Nowym Yorku nie będę pisał: za dużo wrażeń, za dużo gościnności, zaznanej zarówno ze strony Polaków jak i Amerykan, aby w paru wierszach o tym opowiedzieć.

Wracam do Moncton. Pewnego dnia rozchodzi się pogłoska, że wyjazd jest lada chwila. Wybiegamy do miasta: trzeba załatwić szereg sprawunków. Nasze podniecenie zostaje jednak szybko zgaszone. "Przecież wy wyjeżdżacie dopiero za 3 dni" – powiada Mary czy Alice – "Macie wracać na Queen..., która jest teraz w takim i takim porcie". Istotnie w 3 dni potem znaleźliśmy się w owym porcie, gdzie widoczna była wysoka sylwetka Queen...

Tym razem Atlantyk jest wyjątkowo spokojny. Podróż mija szybko. Szkocja wita nas mgłą i przejmującym zimnem. Poczciwy, sapiący steamer przewozi nas na ląd. Jakże dziwnie małe wydają się wagony i lokomotywy L.M.S. w porównaniu z kolosami amerykańskimi.

Kanada została daleko za nami, a myśmy spieszyli do naszych znajomych i kolegów, by nie jednego zasypać opowiadaniami i oczarować zrobionymi zakupami – to przecież takie polskie!

inż pil. Z. Dąbrowski.

W odpowiedzi na życzenia przesłane w związku nominacją Air Chief Marshal Sir Trafford Leigh Mallory na stanowisko Głownodowodzącego Lotnictwem Sprzymierzonych, Naczelny Wódz otrzymał od niego odpowiedź treści następującej:

"Cenię sobie głęboko słowa Pana Generała skierowane do mnie z okazji mej nominacji, w imieniu własnym i Polskich Sił Zbrojnych.

Jestem dumny z tego, że w nadchodzących działaniach będę miał dywizjony polskie pod swoim dowódctwem. Mam całkowite zaufanie, że w bitwach, które przyniosą ostateczną porażkę Niemiec, Lotnictwo Polskie doda blasku do swej już tak wielkiej sławy męstwa i sprawności".

(London) Ltd. **HOBSON & SONS** Założona 1850
1, 3 & 5 Lexington Street, London, W.I
obok Piccadilly Circus
Telef: GERard 6558 (2 lines)
Dostawcy do Royal Military College
Krawcy cywilni i wojskowi
Umundurowanie Lotnictwa, Marynarki i Wojska
oraz
wszelkiego rodzaju służb J. K. M.
Specjalność:
POLSKIE MUNDURY WOJSKOWE
Złote i srebrne dystynkcje oraz taśmy
także: 16 London Road, Camberley, Surrey

II wydanie! II wydanie!
Czy posiadasz już książeczkę
inż. Maciejowskiego p.t.:
"ABC"
ELEKTROTECHNIKI
I AKUMULATORY
str. 52 rys. 30, cena 3sh.
Książeczka którą powinien posiadać każdy lotnik, żołnierz marynarz, junak czy ochotniczka.
Książeczka omawia w sposób przystępny zasady elektrotechniki prądów stałych, jak również ładowanie i konserwację akumulatorów.
Zawiera szereg praktycznych wzorów i przepisów, szereg przykładów i zadań z rozwiązaniami.
Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach i kioskach, lub pod adresem "ABC" Polish Forces P/42. Przy zamówieniach listownych należy załączyć Postal Order.

TŁOKI NSA
Dla samochodów motocykli i ciężarówek
Dostawa natychmiastowa
SYLICUM PISTONS LTD
30, 31, 32 Bolsover Street, Great Portland Street
LONDON, W.I

TRZEBA ROZUMIEĆ EUROPĘ

Weszliśmy w okres rozstrzygający drugiej wojny światowej. W tym przełomowym momencie bardziej niż kiedykolwiek wydaje się rzeczą ważną przypomnienie niektórych faktów podstawowych. Bardziej niż kiedykolwiek, mianowicie, nabiera doniosłości kwestia, czym jest psychicznie ów świat, w który wkroczono, jakie są właściwości szczególne owych starych społeczeństw Europy i gdzie tkwi sekret swoistości ich reakcji i odczuwań.

Odpowiedź na pytania te można ująć rozmaicie, jako że zagadnienie ma oblicza różne, dla tych rozważań wszakże, które tutaj są snute, wystarczy, zdaje się, następujące sformułowanie: Tajemnica Europy, sekret jej odmienności psychologicznych od pozostałych kontynentów, polega na fakcie, *że nie ma w niej narodów wielkich i małych; są tylko wielkie.*

Istotnie, w długich dziejach naszej małej części świata – jak jej linia brzegowa niespokojnych i pełnych załamań – nieomal każdy naród, dziś częstokroć bezsilny, miał kiedyś okres, gdy przodował politycznie i kulturalnie. Nieomal każdy też – poza nieznacznymi wyjątkami – ma po swych przodkach tak olbrzymie dziedzictwo chwały, że ten fakt musi decydować o jego losach, dawać kierunek wszystkim jego działaniom i poglądom.

Weźmy chociażby przykład nam najbliższy: Polskę. Czyż nasza nieugiętość, nasza hardość wobec przemocy, nasza ambicja wreszcie odgrywania roli samoistnej w świecie nie płyną z faktu, że przez lat trzysta z górą Rzeczpospolita zaliczała się do największych potęg Europy, że terytorium jej zajmowało powierzchnię przekraczającą milion kilometrów kwadratowych, że jej wojska zwycięskie trzymały straż na Kremlu i ratowały od niewoli tureckiej Wiedeń? I czyż naszej wiary w siebie, w wartość owych pierwiastków twórczych, które nasz naród do kultury powszechnej wnosi, nie utrwalają w nas Kopernik i Św. Stanisław Kostka; Kościuszko, Chopin – których imiona jak świat długi i szeroki, nas wsławiły?

Otóż podobne właśnie poczucie swej wielkości i chwały posiada każdy niemal naród w Europie – i ta świadomość bynajmniej nie jest bezzasadna. Tak jak my bowiem mają prawo czuć i myśleć nie te narody tylko, co do dziś utrzymały swą mocarstwowość, albo rozprzestrzenieniem mowy swej, nie utraceniem pewnych zamorskich zdobyczy dają świadectwo, iż zachowały coś z dawnej świetności. Nawet narody najmniej liczne i najsłabsze, wszelkich wogóle marzeń o potędze pozbawione, opromienione są blaskiem historycznej sławy, dostojne swym kulturalnym dorobkiem. Mała Dania, niewielka Norwegia ongiś wysłały w świat drużyny zdobywców, które podbiły Europę, od Wielkiej Brytanii po Sycylię, dały początek nowym państwom, nowym dynastiom. Mała Irlandia, od VII do X wieku, przodowała kulturą zachodniemu chrześcijaństwu, nawróciła przez misjonarzy swych Niemcy i Szwajcarię, zakładała zakony od Anglii aż po Polskę i Lombardię.

A toż samo, co powiedziano tu o małych narodach Zachodu, sprawdza się, w równej zupełnie mierze, w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie wspomnę już, jako o rzeczy zbyt oczywistej, o "chwale jaką była Grecja"... Ale Bułgaria za czasów cara Symeona, Serbia przed klęską na Kosowym Polu, Węgry za panowania Ludwika Wielkiego, Czechy gdy Przemyśl Ottokar II wojował od Królewca po Akwilę, Litwa nakoniec, gdy pod Witoldem Wielkim rozprzestrzeniła się od Połagi aż do Worskli – wszystko to były mocarstwa najpotężniejsze, straszne swym wrogom, władające olbrzymimy połaciami Europy. Żołnierze paromilionowej Szwecji, jeszcze w wieku XVII i XVIII, nieśli sztandary zwycięskich Wazów od Elby aż poza Dniepr. I każdy z tych narodów historycznych może rzec o swoich wodzach i monarchach to samo całkiem, co o grobach wawelskich napisał niegdyś Edmund Wasilewski:

"*Oni światu przegrażali, a choć*
dzisiaj w trumnie,
Jeszcze okiem marmurowym spoglądają dumnie".

A wreszcie – co wcale nie jest najmniej ważne – każdy z narodów tych żyje dość długo, by mieć w swych dziejach także czasy klęsk i niebezpieczeństw, czasy częstokroć pamięci jego najdroższe, bo w nich wspanialej nawet, niż nieraz w chwilach zwycięstw, zabłysła jego siła duchowa i niezłomność. Każdy z narodów tych ma Egmontów czy Traugutów, co szli za jego sprawę na szafot lub szubienicę, co nie przestali wierzyć, choć wszystko zdało się stracone, nieustraszeni wobec przemocy i nieugięci. I każdy wie też, że takiego dziedzictwa się nie zdradza, że z pól, takimi trupami zasłanych, nie ma dezercji, że taki bezmiar miłości i poświęcenia przez stulecia – to wieczny nakaz, wieczne zobowiązanie dla potomnych.

Otóż z tych faktów psychologicznych wypływają pewne konsekwencje w umysłowości narodów europejskich, w ich wrażliwości w reagowaniu na pewne sprawy, w ich instynktach, odczuciach, dążeniach. Przede wszystkim więc jeśli chodzi o kwestię granic narodowych i znaczenie jakie się do niej przywiązuje. Może to kogoś dziwić, a nawet niecierpliwić, że taką wagę przykłada się do ubogich skrawków gruntu, ale tak jest już, że granice w Europie nie biegną wzdłuż linii równoleżników i południków. I wartość tych spłachetków nie wynika z tego zgoła, że Europa jest niewielka i przeludniona, lecz że nad każdym z nich jest nadbudowa duchowa tradycji pamiątek, umiłowań, i ona właśnie swą moralną ważkością, ustala i zwielokrotnia jego cenność. Ona sprawia, że *ziemia ojczysta dla narodu – to nie kapitał materialny ale świętość, która nie może być jak są tereny kolonialne, przedmiotem jakiegoś handlu czy zamiany.*

A po wtóre żaden europejski naród historyczny dlatego właśnie się pod cudze przewodnictwo nie nadaje, że sam był kiedyś w przeszłości zbyt potężny, aby mu siła jakakolwiek imponowała, i sam we własnej kulturze ma wartości nazbyt wielkie, by mu je jakiś obcy blask zdołał zaćmić. Zaś z drugiej strony każdy też nazbyt ciężkich doświadczał w dziejach swych prób i niepowodzeń, by w nim cokolwiek mogło zabić wiarę w przyszłość i klęskę jakąś zechciał uznać za ostateczną.

Tej tajemnicy właśnie nie umiał zgłębić Hitler, ze swym parweniuszowskim niedocenieniem, czym jest tradycja, ze swoją wiarą śmieszną w Niemców jako w rasę panów, której należy się władanie nad innymi. Usiłował zorganizować Europę na zasadach subordynacji nie koordynacji, i, oczywiście z nieugiętym spotyka się oporem. Nawet i tam, gdzie pragnął po swojemu współpracy, jak w wypadku Francji i Włoch, rzecz ostatecznie zakończyła się militarną okupacją.

Ale niepowodzenia te tym jawniej tylko okazują, czym grożą błędy i gdzie tkwi tajemnica sukcesu. Tam też ważniejsze jest zrozumienie tego sekretu i wyciągnięcie zeń wszystkich należnych wniosków.

Stary, głęboki paradoks filozoficzny daje wskazówkę: "*Naturae non imperatur, nisi parendo*". Podobnież można rzec, iż nie zdobędzie się Europy, nie przywracając pełnej niepodległości jej narodom i że kontynent ten ma tę paradoksalną własność, iż by go podbić, trzeba być – *oswobodzicielem.*

Konrad Lubicz.

8 GRUCZOŁÓW
decyduje o twoim iosie
[*obecnie zaś możesz regenerować gruczoły*]
NAUKA WSPÓŁCZESNA dotarła do źródła życia ludzkiego – do gruczołów. Poprzez odradzanie gruczołów otwieraja się nowe horyzonty we wszystkich kierunkach ludzkiej twórczości. Oto proste fakty. Wszystkie twoje działania oraz fizyczne i umysłowe właściwości, twój wzrost, waga i temperament, zależne są od twych t.z.w. ENDOKRYNALNYCH gruczołów, czyli gruczołów o WEWNĘTRZNEM WYDZIELANIU. Gruczoły te mają nie tylko swe funkcje niezależne, ale działają ponadto jako cały układ. Wydzieliny ich, krążąc razem z obiegiem krwi, rządzą wszystkiemi objawami twej energji – umysłowej, fizycznej, nerwowe j płciowej.
Człowiek ma tyle lat ile jego gruczoły...
Od mocy irównowagi tego wydzielania zależy twoja siła. Sprawność twoja osiąga najwyższy poziom tylko wtedy, gdy gruczoły twe funkcjonują właściwie. Słabość jest w tym samym stopniu wynikiem braku równowagi jak niedostatecznego wydzielania. Lecz i to i tamto może być uleczone zapomocą hormonoterapji.
Cierpisz na przedwczesne starzenie się? Na utratę energji i żywotności, słabość, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle ogólne? Wzrok twój się psuje, łysiejesz? Stwierdzasz u siebie neurastenję, wyczerpanie umysłowe, nerwowe zaburzenia trawienia, częściowy lub całkowity zanik sił męskich? Wszystkie te stany są objawami niedostatku lub braku równowagi, które mogą być leczone tylko przez twoje gruczoły.
HORMONOTERAPJA jest nauką o odmładzaniu przez odradzanie gruczołów. Działa w sposób odwrotny niż lekarstwa – odbudowuje nanowo, zamiast tylko podniecać energję życiową. Dociera do samego sedna niedomagań umysłowych, nerwowych i płciowych. Dowiedziono jest, że przywraca pełnię energji, utraconą skutkiem choroby, wieku, a nawet chronicznego osłabienia.
Brytyjskie Wytwory Gruczołowe
Do „British Glandular Products Limited" (P.A.F. W 181), 35 Albemarle Street, London, W.1.
Proszę nadesłać mi broszurę Panów „Istota życia" (załączam znaczki pocztowe na 3d.) lub też proszę nadesłać mi 100 tabletek marki „TESTRONES" (męskie), albo 100 tabletek marki „OVERONES" (żeńskie), na co załączam 10s. Prosimy o wykreślenie słów niepotrzebnych.
NAZWISKO .....
ADRES .....
.....

POLSKI KUŚNIERZ
LANGER & COMPANY
(FURRIERS) LTD.
Wykonuje NOWE futra i przeróbki wszelkiego rodzaju. Futra na składzie. Specjalne udogodnienia dla prowincji.
59 Knightsbridge, London, S.W.I
1-e piętro Tel.: SLOane 3626

WIELKA SŁAWA
PODCZAS WIELKICH WOJEN
Płaszcze nieprzemakalne
Burberry, płaszcze wojskowe
i mundury, odznaczają się tu
doskonałością ubioru wojskowego
i zabezpieczeniem przed złą
pogodą w każdym klimacie.
BURBERRYS HAYMARKET
LIMITED London, S.W.I

Skrzydła *są dwutygodnikiem i nie możemy z braku miejsca poświęcać jego łamów przeglądom prasy brytyjskiej lub recenzjom książek . Celowi temu służy prasa codzienna i periodyczna w W. Brytanii. Jednak winniśmy chociażby tylko notować pewne głosy poważnej publicystyki i piśmiennictwa brytyjskiego, które zwłaszcza w ostatnich czasach zaczyna poruszać w sposób nader interesujący sprawy polskie i europejskie nas obchodzące. Podczas gdy prasa codzienna i tygodniowa raczej powierzchownie i dorywczo, "z obowiązku dziennikarskiego", dotyka pewnych ważnych zagadnień, – prawdziwymi kuźniami myśli są miesięczniki, kwartalniki i wydawnictwa książkowe.*

Redakcja Skrzydeł *postanowiła zamieszczać artykuły sprawozdawcze, w których będą omawiane nowe wydawnictwa periodyczne i książkowe. Będzie to swego rodzaju poradnik lektury lub katalog rozumowany wydawnictw, które warto przeczytać. W* reading room'ach i lending room'ach *lokalnych publicznych bibliotek angielskich można z łatwością dostać książki i periodyki, które będą przez nas omawiane.*

Autor piszący owe artykuły sprawozdawcze pilnie śledzi wszystkie wydawnictwa brytyjskie, w których poruszane są sprawy nas obchodzące, i wybiera tylko te pozycje, które naprawdę warte są przyczytania.

★

Miesięcznikiem, który najmocniej broni sprawy polskiej jest "*Nineteenth Century and After*", redagowany przez Fryderyka Voigta. W numerach listopadowym i grudniowym p. Voigt omawia w artykułach wstępnych stałe zasady rosyjskiej polityki zagranicznej, podkreślając szczególnie aktualną politykę sowiecką w stosunku do jej zachodnich sąsiadów. Akcentując znaczenie dla W. Brytanii współpracy z krajami europejskimi, i przestrzegając przed ekspansją rosyjską na zachód, Voigt bez osłonek stawia tezę: Jeśli Rosja nie zmieni swej polityki, W. Brytania będzie zmuszona zrewidować swą politykę wobec Niemiec.

W zeszycie grudniowym pisma J. A. R. Marriott zamieszcza artykuł p.t. *The Balance of Power in Theory and Practice*, w którym wyjaśnia w przekroju historycznym tę starą doktrynę polityki zagranicznej brytyjskiej. Współpracowników miesięcznika można nazwać "dobrymi Europejczykami". Jeśli się chce wytworzyć pojęcie o roli i poglądach *Nineteenth Century*, warto sięgnąć wstecz i przeczytać wspaniały artykuł Voigt'a p.t. *Integration or Disintegration* ? (October 1943), w którym opowiada się on za scaleniem Europy na podstawach federacyjnych.

CO CZYTAĆ

KATALOG ROZUMOWANY

W numerze styczniowym (1944) znajdujemy przekład na angielski fragmentu z "Grobu Agamemnona" J. Słowackiego. Przekładu dokonała p. Antonina Kulska, i jest on (za co należy się podziękować tłumaczce) swego rodzaju arcydziełem. Cytujemy jedną strofę:

"*O Poland ! So long as thou keepest*
An angel's soul captive in a coarse shell –
So long will the hangman lash thy miserable body,
And thy sword of vengeance will not be terrible,
Thou wilt have a hyena on thee –
And a grave and open eyes in the grave !"

Pismo zamieszcza artykuł wstępny, mocno krytykujący politykę Tito w Jugosławii i domagający się popierania legalnego rządu Króla Piotra i naczelnego wodza Jugosławii Gen. Michajłowicza. Legalny rząd, nie zaś Tito musi uzyskać pomoc moralną i materialną Aliantów.

Contemporary Review również miesięcznik, jest pismem bardzo poważnym, lecz nie stać go na taką śmiałość i szczerość, jak *Nineteenth Century*. Styczniowy numer (1944) tego miesięcznika zawiera artykuł George Glasgow, bardzo przychylnego dla Polski komentatora prowadzącego w miesięczniku stałą rubrykę *Foreign Affairs*. Zestawia on znaną mowę gen. Smutsa (z 25.11.43) z wynikami Konferencji Trzech w Teheranie. Pod nieco niewłasciwym tytułem *The European Advisory Commission* George Peel pisze o roli Europy w handlu światowym, domagając się realizacji artykułu 5 "Karty Atlantyckiej", w którym mowa o "najpełniejszej współpracy wszystkich narodów na polu gospodarczym". Trzeci artykuł gorąco polecamy wszystkim lotnikom. Jest to artykuł pióra V. W. Germains p.t. *Air-Power and Victory*. Autor sceptycznie ustosunkował się do poglądu, jakoby wojnę można wygrać samym lotnictwem. Wyraża on śmiały pogląd, że jeśli by Niemcy w r. 1940 zamiast bombardowania W. Brytanii, kosztem nawet wielkich strat spróbowali inwazji, możeby wygrali wojnę. Niewątpliwie, artykuł ten wywoła obszerne komentarze i ożywione dyskusje w kołach lotniczych.

W grudniowym *Contemporary Review* członek Parlamentu Philips Price w artykule p.t. *Moscow and After* omawia zagadnienia polityczne europejskie, przedstawiając niekorzystnie dla nas stosunki polsko-rosyjskie. Zdaniem jego, ponieważ Rosja zrezygnowała z wywołania w Polsce rewolucji komunistycznej, Polacy powinni zaniechać "roszczeń" do terytoriów ongiś przez Polskę "podbitych, gdzie "panowała" polska klasa posiadająca (landlords and merchants of the town). W rubryce *Foreign Affairs* p. G. Glasgow ujemnie ocenia Deklarację Moskiewską i zaznacza, że mimo, iż wspomniano w niej o Austrii, nic nie powiedziano o Polsce. P. Matthews w artykule p.t. *Should Germany be Broken Up* ? zasadniczo wypowiada się przeciwko rozbiciu Rzeszy na szereg państewek. Seperatyzmu w Niemczech nie ma. Trzeba byłoby rozbicie to przeprowadzić przy użyciu siły i utrzymać zapomocą siły zewnętrznej. Natomiast autor opowiada się za przyłączeniem Prus Wschodnich do Polski, bo była to siedziba militaryzmu niemieckiego i kasty junkrów. Utrzymanie tej dzielnicy umożliwiło Niemcom atak na Polskę w r. 1939. Jeśli Polacy będą zmuszeni ustąpić Rosji część terytorium po linię Curzona, będą oni mogli wysunąć roszczenia do Prus Wschodnich, tego pra-słowiańskiego terytorium.

W lutowym zeszycie (1944 – zeszyt antydatowany) *World Digest* na uwagę zasługuje przedrukowany z *La France Libre* artykuł Odette Keun p.t. *Pulling Europe Together*. Jest to jedna z najbardziej pożywnych ocen możliwości i konieczności powstania federacji środkowo-europejskiej (Central Zone). Zdaniem autora Stany Zjednoczone napewno poprą sprawę federacji, Brytania powinna to uczynić we własnym interesie, zaś Rosja nie może żywić obaw, by federacja mogła zagrażać jej bezpieczeństwu. Pozatem miesięcznik, który jest magazynem przedruków z najpoważniejszych pism, obszernie streszcza artykuł p.t. "Feeding Europe" Sir William Beach Thomas'a, zamieszczony w listopadowym numerze *Fortnightly*.

Nie należy przerażać dziś może zbyt naukowym tytułom wydawnictwa zbiorowego p.t. *Studies in Federal Planning* (London, Macmillan, 1943, edited by Patrick Ransome). O zagadnieniach gospodarczych federacji pisze tylko jeden autor. Książkę tę należałoby może raczej zatytułować: "Zagadnienia federacji". Państwa federacyjne już istniejące w Europie opisuje H. R. G. Greaves, Konstytucję Stanów Zjednoczonych omawia Goodhart, zaś popularny profesor C. E. M. Joad z Brains Trustu pisze o filozofii federalizmu. We wstępie wydawca p. Ransome podkreśla, że istnieje prawdopodobieństwo, iż "małe federacje regionalne" mogą powstać w Europie Środkowej i na Bałkanach. Ciekawy jest aforyzm Beveridge'a o federacjach: "Federalizm jest silnym lekarstwem na złośliwą chorobę, nie zaś kojącym balsamem, którym należałoby skropić cały świat".

Niestety, uszedł uwadze naszej prasy codziennej i periodycznej niezwykle ciekawy a programowy artykuł prof. P. N. Rosenstein-Rodana o zagadnieniach uprzemysłowienia Europy Wschodniej i Południowo-Wschodnej (*The Economic Journal, III kwartał*, 1943 r.). Ludność tego obszaru oblicza autor na 100 do 110 milionów mieszkańców, i aczkolwiek nie wzmiankuje o sfederowaniu tego regionu europejskiego, z tekstu wynika, że przecież pragnie traktować zagadnienia gospodarcze tego obszaru jako pewnej całości. Prof. R. R. oblicza, że w ciągu najbliższego 10-lecia po wojnie należy tam zatrudnić w przemyśle dodatkowych 10 mil. ludności rolniczej. Kapitał konieczny do zatrudnienia ich wyniesie 3 miliardy funtów. Koszta renowacji starych i nowych inwestycji, sięgać będą 1.8 miliarda.

W rolnictwie trzeba zainwestować 1.2 miliarda. Łączna kwota inwestycji wyniesie około 6 miliardów, z czego 3.6 miliardów da się pokryć z kapitałów krajowych, zaś 2.4 miliardów należy uzyskać z przywozu kapitałów zagranicznych i odszkodowań, które w postaci dóbr kapitałowych otrzyma się od pokonanych Niemiec.

Autor proponuje powołać do życia *Eastern European Industrial Trust*, któryby zajął się uprzemysłowieniem tego obszaru, gdyż indywidualni kapitaliści zagraniczni ze względu na ryzyko i bezpośrednią nieopłacalność pewnych inwestycyj, nie byliby skłonni angażować swych kapitałów. Tam gdzie inwestycje będą rentowne jedynie jako całość, podczas gdy poszczególne inwestycje mogą same przez się nie opłacać się, zachodzi potrzeba planowego inwestowania, na które nie pójdzie indywidualny kapitalista. Może on pożyczyć pieniądze *Eastern European Industrial Trust*, który mu zagwarantuje dochód z kapitału i spłatę rat amortyzacyjnych.

Od czasu rozpoczęcia się serii konferencji poświęconych pomocy powojennej i odbudowie (Hot i Atlantic City) ukazuje się szereg wydawnictw na ten temat, z których na szczególne wyróżnienie zasługuje wydawnictwo zbiorowe t.p. *When Hostilities Cease* (V. Gollancz, 1943, sh. 4/6). Na uwagę zasługuje praca prof. Marrack, lekarza specjalisty od zagadnień odżywiania, który przedstawił trudności z wyżywieniem krajów europejskich po wojnie 1914-18 r. i domaga się ułożenia jasnego i realnego planu pomocy i odbudowy, by uchronić się od powtórzenia błędów z przed 25-lat. Mr. Brooks porusza sprawę powrotu uchodźców, deportowanych i przesiedlonych, do krajów ojczystych; załącza on dokładną statystykę, dotyczącą ludności polskiej, rozrzuconej po całym świecie. Krótki ale nie mniej ciekawy jest wkład do tego wydawnictwa prof. John Hammond p.t. *Relief Measures for Agriculture*. Wysuwa on m.in. niezwykle korzystną dla rolniczych narodów europejskich tezę, że kraje te winny przede wszystkim produkować mleko, owoce, jarzyny, jajka i mięso wieprzowe, t. zn. artykuły wymagające zatrudnienia znacznej liczby rąk roboczych (pracochłonne gałęzie rolnictwa). Przyczyni się to do rozwiązania przeludnienia w rolnictwie i podniesienia dochodu z roli. Zboża i inne artykuły rolne i hodowlane otrzymają nawet rolnicze kraje europejskie z krajów zamorskich. (Oczywiście plan ten odnosi się do okresu, który nastąpi po zaspokojeniu głodu po wojnie.)

Prócz tego wydawnictwa ukazała się ostatnio książka Lamartine Yates and D. Warringer p.t. *Food and Farming in Post-War Europe* (Oxford University Press, London, 1943). Książka ta, bogato ilustrowana mapami i obrazkami z życia rolników europejskich, zawiera wiele ciekawych zestawień statystycznych. Autorzy domagają się od krajów wierzycielskich pomocy kapitałowej dla biednych krajów rolniczych Europy, oraz ścisłej współpracy z tymi krajami nad podniesieniem ich dobrobytu. O Polsce mówi się w tej książce dość sporo.

Z zapartym tchem czyta się książkę opracowaną przez Eugene M. Kulischer'a, a wydaną przez *The International Labour Office* (Montreal) p.t. *The Displacement of Population in Europe*. Książka ta posiada również wydanie brytyjskie, które świeżo ukazało się z druku. W objektywnym, cyfrowym oświetleniu przedstawia autor przesiedlenia, ewakuację i deportację ludności krajów europejskich. Dużo miejsca poświęca się Polsce i przedstawieniu polityki kolonizacyjnej niemieckiej. Tygodnik inteligencji lewicowej *New Statesman* (1.1.44) omawiając tę książkę i specjalnie podkreślając cierpienie ludności polskiej, uważa, iż książka ta jest przestrogą, na przyszłość, wskazującą, czego powinien unikać człowiek cywilizowany. Pismo sugeruje, by Polacy nie domagali się "akrów", lecz raczej "maszyn", by nie nastawali na przyłączenie Prus Wschodnich i wypędzenie 7 milionów ludności niemieckiej, oraz by Czesi zaniechali projektu wygnania 3 milionów Niemców sudeckich.

Szperacz.

★

Chcesz przedłużyć swoje życie
Strzeż ogona należycie.

Patrz do pr.odu i za siebie
Bo nie Ty-a sprują Ciebie.

Na skutek licznych prośb zainteresowanych

—"Konkursem na Materiał Popularyzujący Zagadnienie Myśliwskie"— ostateczny termin nadsyłania prac przesuwamy na dzień 31 stycznia 1944 r.

Co nadsyłać na konkurs.

Rysunki i szkice, pomysły na rysunki, krótkie wiersze lub slogany (wzór publikowany w piśmie "SKRZYDŁA") z rozmaitych dziedzin życia pilota myśliwskiego, higieny, przygotowania się do lotu, bezpieczeństwa lotu, dyscypliny, umiejętności wykorzystania sprzętu, taktyki walki, ćwiczeń w powietrzu i tp.

Sposób przeprowadzenia.

Pracę nadsyłać należy do dnia 31 stycznia b.r. w kopercie zapieczętowanej i zaopatrzonej w godło i napis **"Konkurs Myśliwski"** przesyłać na adres: **Redakcja "SKRZYDEŁ" I, Princes Row, London, S.W. I.**

Nagrody.

I nagroda, £. 13. II nagroda, £. 7. III nagroda, £. 3. IV nagroda, £. 2.

SKRZYDŁA
PERIODICAL OF THE POLISH AIR FORCE

No. 1/427 15th JANUARY 1944 Vol. V. 5

INTERVIEW WITH A POLISH UNDERGROUND LEADER

He is young, tall and slim. His face shows no anxiety, only decision and a certain ardour. The work of conspiracy which he has been doing in Poland for four years has toughened him. To-day he looks like a soldier weathered by several front-line campaigns.

For the last four years he has been one of the many organisers of the underground life of resistance to those occupying the country, so actually he has been unceasingly in battle.

At present he is here amongst us in this island, and has brought with him a detailed description of the Polish people's constant fight with the Germans.

As editor of an Air Force paper, I began our conversation with talk of the Forces. In general, the people of the United Nations hear enough about the Polish armed forces, especially the Air Force and Navy, fighting abroad; but in Western Europe, it seems to me, people believe that Poland has no more than the comparatively weak army which escaped to other countries.

"*How important are the underground armed forces inside Poland ?*"

"The organised army there is now the country's principal force. In it there are not only detachments fully instructed and ready for battle, but all the auxiliary services, supply units, and even groups prepared for the immediate taking over of industry now in the hands of the Germans, as well as everything else belonging to the nation's life and culture. The armed forces inside the country are an important element of the basic strength at Poland's disposal. The part of our forces which is abroad—Air Force, Navy and Territorial Army—although effective, is only a portion of the main strength.

"Since the September campaign in 1939, four years ago, Polish soldiers have anchored and crumbled up a considerable German army."

"*How does this remarkable resistance movement manage to be effective, surrounded by persecution and the methods applied by the Germans to the Poles ?*"

"Well, firstly, there's the moral factor. A general and united will power, everyone's will to fight whoever tries to hinder the re-establishment of integrity and complete independence of Poland. Secondly, and no less important, is the organisation. This would make it possible to protect the vital forces while fighting, and even increase them in spite of huge losses."

"*Does the country know about the plans of the United Nations ?*"

"Until a short time ago, yes. They were known, understood and accepted as being completely in line with Polish wishes. The news and official declarations which arrived, in spite of German efforts to cut us off from the rest of the world, confirmed the community of interests and concordance of efforts. But recently the picture has become confused, and there are many problems as difficult to understand, if we are looking at them from our own point of view or from the point of view of the interests of the United Nations as well. All the same, the people are confident that wise and stable principles uphold the policy of the Western Powers. They are confident that solemn pledges will be honoured. So, although events are tensely watched, we still firmly believe that the final peace will be based on justice."

"*Is it known in our country that attempts are being made to frustrate the re-establishment of Poland in her whole territory ? And does German propaganda make use of this ?*"

"Of course ! Such news is leapt on by German propagandists, who seize every possible chance of disgusting the Poles with their Allies, and shaking the confidence in Great Britain. This doesn't only affect the Poles. Polish concerns are held up to others as an example of what threatens the whole of Europe.

"The Germans see no hope of coming to an understanding with any group whatever in Poland, where the attitude has been consistently much stronger and more determined than in any other occupied country. And so it is not an *entente* that they are after when they jump at each unfriendly sign towards Poland, when they publish photographs of atrocities, and when they reprint in their own newspapers, in Polish, specially garnished articles from the British press which are inimical to Poland. It is simply an effort to plunge the Poles into apathy."

"*What does Poland feel about the news that leaks in ?*"

"Well, on the one hand it makes for even greater unity among the people, and stirs them to even bigger efforts. All attempts directed against the integrity and sovereignty of the Polish State, from whichever side they may be made, will meet determined resistance.

"But, on the other hand, one must admit that the arrival of this kind of news at a moment when all the nation's strength should be concentrated on the fight, is destructive !"

Andrzej Płodowski.

The Polish President chatting with some of the youngest members of the Polish Air Force Cadets

Father and Son

In the late seventeenth century, when chivalry was for Poles a religion, an Irish physician by the name of Bernard O'Connor practised for a while at the court of that last of Christian knights, King John III Sobieski. O'Connor became in later years one of the most popular physicians in London, but the impression his Polish friends had made on him never faded, and whenever patients would come to him with their ailments he would exclaim, "Ah, my good fellow, a shame it is indeed, you were not born in Poland."

(Prof. Arthur Coleman, Columbia University.)

Letters to the Editor

WHAT DO WE OWE TO POLAND ?

DEAR SIR,

One is never too great nor too old to learn. The British Empire is great and old, but we English thought too little about our heritage before the present war started.

We have learnt and can still learn much from our Polish ally. I do not think that any other nation on earth has such a deep and strongly ingrained sense of patriotism as the average Pole. His very history proclaims it.

How often has he worked and built and lost all, only to rise and do the same thing over again, until it became almost automatic. That is Poland and her past, and also her future, for she will surely rise again, this time to stay permanently in her rightful place among the great nations of the world.

But there are other lessons we can learn from Poland—lessons of everyday life. We can study the innate courtesy of the Pole, his tact and sympathy towards womenfolk, and his devout attitude towards religion.

Like ourselves, Poles are always ready to help the oppressed, and when peace comes they will take a place among the councils of the nations to watch over the interests of the Free Peoples.

The Polish people are like our own in the fact that they are always ready to stretch out the hand of friendship; but they recognise the hand that conceals the dagger of hate, and we must listen in the future when warned of the rise of another barbarian overlord.

In any crisis that touches his beloved country the Pole is quite indifferent to suffering and will make any sacrifice that will benefit his fellow-countrymen. His perseverance in striving for the common good is amazing, and his modesty is equally great, for he does not ask for wealth and territory. He wishes to keep that which is his own, and no man can gainsay that.

What nation is more sincere in its welcome than the Polish ? There, in the land of our allies, hospitality is carried to its highest degree. I have pleasant memories of many visits to Polish friends, memories that will last as long as I live.

Yes, we must learn to be prouder of our Empire than ever before, but must not be too proud to learn from others who have suffered so much to keep their own freedom and heritage alive.

Yours faithfully,

Evyn Thomas.

DEAR SIR,

I have just read with great interest the letter written by Mr. Dodds of the Scottish-Polish Society on 6th October regarding Polish prisoners of war. I thought you would like to know that since February I have sent 20,000 cigarettes and 70 parcels of food and clothing to these Polish prisoners of war who have been suffering so terribly since the Germans entered Poland.

The pupils of the Revoe Junior Boys School, where I am a teacher, have raised the money for these parcels and have also sent nearly £200 to the Polish Relief Fund. This has been done with the permission and consent of the headmaster, Mr E. J. Williams.

The boys sing songs, and the Polish National Anthem, in Polish. We count many Polish airmen amongst our friends, and we look forward to the time when they will return to their own beloved country. We also hope that some of us will visit them.

Yours very sincerely,

LAURA BUXTON (Miss),
Blackpool.

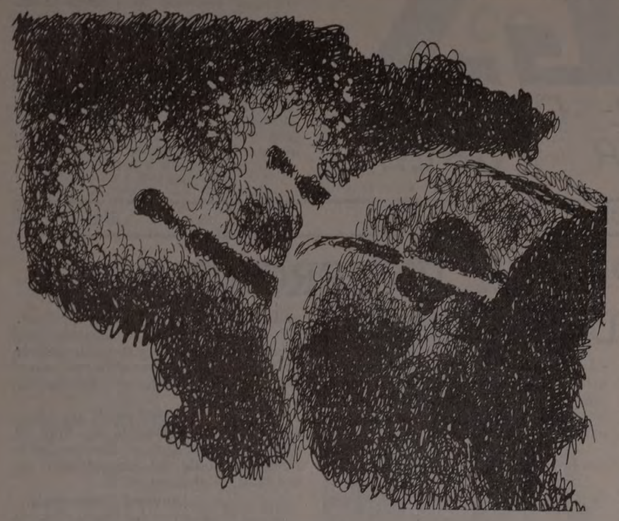

A VISIT OF THE THUNDERBOLT

When athletic Jupiter was angry he waded among the clouds and hurled thunderbolts. They thundered through the universe like flint skittles and the zigzags of lightning illuminated the sky with a glittering, twinkling light over which darkness closed as black as coal.

People were frightened in their hearts when mysterious heavens spoke to them in a voice of thunder. They trembled before Jupiter's fury, although his thunderbolts, compared to those hurled by men later on, were only like a drunkard's brawl in the face of the eruption of Mount Etna. Those were the good old times.

Nowadays the entire dignity of thunderbolts has been reduced to the secondary part of adding spice to impressive scenes. Among writers' requisites the automatic pistol occupies a far more important place, not mentioning the time bomb.

The heavenly fire had gone to the dogs at more or less the same time as the old nobility.

Jupiter with his simple thunderbolts is as inconspicuous in comparison with a high explosive factory as the heir to a mortgaged property in comparison with Ford. That is tragic and it represents the great injustice of our days. There are few people who realise what a dull place the world would be without escutcheons and Olympus.

Personally, I am extremely fond of thunderstorms and parchment. I am even prepared to admit that I feel very sorry for Jupiter. However, let him be called by another name, but let him wade among the clouds and hurl his thunderbolts with great vigour.

This goes to show that a liking for somebody attracts the person in question. A short itme ago I had a visit from a once very important dignitary—from the prince of clouds, the forgotten thunderbolt. Although he did not come in his entire glory of light and thunder, it was him all the same in a modest impersonification.

He appeared so quietly and meekly that at first I did not realise what a very important person was honouring my humble abode. It simply happened like this.

The night was more grey than dark, as are most of the nights on this Island. From 2000 feet to about 500 feet there was a layer of sparse clouds and above 8000 up to 10,000 feet was another one. We were flying under the ceiling of the clouds, surrounded by pale twilight. From afar we could occasionally see a glimmer of red beacons, otherwise there was the complete darkness of a blacked-out country.

During such a boring time the minutes pass slowly and several hundred miles of speed seem like the movement of a tortoise. With every moment a more and more depressing feeling takes charge of mind and body. Gradually one gets into a state of complete isolation, as if one were wrapped in a cocoon for the purpose of a mysterious metamorphosis.

I was entirely taken up by that depressing contemplation when I noticed that shining little beads had begun to appear on the ends of my rifle barrels. At first there were only single beads, later on several of them, and in the end they surrounded the barrels near the turbines with a closely knitted ring of trembling lights. They were shedding a pale green light for a few seconds and then died out all of a sudden.

I had an odd feeling.

Many strange things happen in this world. . . . There is a war on. . . .

Suddenly the little beads started to shine again, but this time there were more of them, giving a fuller and brighter light. They trembled for a moment, grew and became more numerous, and in the end burst forth with the pale flame of will-o'-the-wisps. The uncanny streamers of green flames followed the plane like the banner of an astral battle array, put out by the wind, flaming up again, light, dancing, vivacious.

By now I was full of delight and attention. The whole thing was clear to me. Great Jupiter's first minister was paying a visit to my turret.

His behaviour was exemplary, as it should be during a ceremonial visit at the house of a new friend. He smiled and was brilliantly gay and dazzling. I was feeling rather embarrassed in the way an upstart's servant feels in the presence of a patrician's servant — although the latter has more money there is always a difference.

We were looking at each other fondly, but I could feel that he would like to tell me the truth—that I was an intruder and vagabond.

I was only afraid that the rogue might burn the wireless, known as he was for his malice.

The visit, as is usual with first visits, did not last long. He got up and left as quietly as he had come. He did not burn the wireless, although he could have done so easily.

This time breeding showed itself stronger than professional jealousy.

He obviously belonged to the old school.

S. S.

FROM THE SERIES: SILHOUETTES OF FLIERS

POLISH AIR ACE VOLUNTEERS TO FIGHT JAPS

The representative of the Central News Agency at Chunking has had an interview with a Polish fighter ace who volunteered to fight against the Japs. We have pleasure in reprinting the interview.

"The Japs are your enemy and they are also our enemy."

Thus said Major Witold A. Urbanowicz, one of the Polish air aces of this war and the first Pole to volunteer for service in China, in an exclusive interview with Central News, *when he was asked what had made him come more than halfway round the globe to fight the Japanese over Chinese skies.*

For a Pole it is merely another way of saying, "For Our Freedom and Yours," the battle-cry of the Polish Army, which has its origins in the days of the First Partition of Poland.

As to the word "Japs," Major Urbanowicz had probably picked it up while he was in the United States, where he was assistant air attaché to the Polish Embassy in Washington.

There he picked up these things too. He learned to, in his own words, "admire your country and love its old culture."

Major Urbanowicz came to Chungking on a leave from "somewhere at the front." But China is no longer new to him now. Neither is what he described as "your and our enemy." Since he set foot on Chinese soil he has escorted two bombing missions of the Fourteenth U.S. Air Force over Japanese-occupied territory as a "guest" fighter pilot.

The air ace has not come to grips with the Japanese yet in so far as air combat is concerned, but he is eager to one of these days. "Within," as he is called in Polish, has seventeen German planes to his credit—a record for Polish airmen fighting overseas up to the end of the Battle of Britain. When asked whether he would like to shoot down at least as many Japanese planes, he replied, "I would like to," his soft voice ringing clear and determined.

He said in reply to another question that he had not been in action together with Chinese fighters, for whom he had high respect. "They are very brave," he said, "and I look forward very much to fight the Japs with them."

Major Urbanowicz arrived in China on 11th October. He had a special reason to remember that date because he came up all the way from India in the same plane with Dr. T. V. Soong, the Chinese Foreign Minister. At this point he produced a neatly typed letter bearing the emblem of the Kuomingtang sun, and swelling with the pride of a mother over her first newly born baby, showed it to the correspondent. It read in part: "Major Witold A. Urbanowicz . . . has volunteered to fight the Japanese in China—and any courtesy shown him will be highly appreciated." It was signed: "T. V. Soong."

In the Fourteenth U.S. Air Force, Major Urbanowicz occupies a unique position. He still retains the rank of Major of the Polish Air Force. He still wears the smart-looking air-force blue uniform of the Polish Air Force, but for distinction he has the official emblem of General Stilwell's Headquarters pinned to the left breast pocket of his coat.

Major Urbanowicz hoped to be in China for "several" months, after which he was not sure where he would be. "Maybe I am going back to fight in Europe, which is my second business now," he said.

Aged thirty-five, Witold Urbanowicz has a soldier's bearing. He is not tall by European standards, but has exceptionally broad shoulders. His face does not bear any special battle marks, but shows the effect of the strain of air combat. Below a high forehead is a pair of piercing clear blue eyes.

Major Urbanowicz (on the left) during his visit to America.

Major Urbanowicz is in every sense a flyer's flyer and an ace's ace.

Before the war he was an instructor in the Polish Air Training School. At the outbreak of hostilities he received orders to take his group of fifty cadets to Rumania. Once he shepherded his pupils safely across the frontier he returned to Poland to take part in the fighting.

He went to Britain in January 1940, and in the middle of August he shot down his first German plane while a member of a British squadron. In that very first encounter he revealed the qualities which were so conspicuous in all his later successes—soundness of decision, courage and vehemence.

On 5th September of the same year he took over the command of the now famous Polish Fighter Squadron 303, which was on the eve of its most glorious achievements. With it he won glory for Poland and laurels for himself. It is the most famous of all the Polish squadrons that shot down 126 German planes for certain and 24 probably during the Battle of Britain. Incidentally, this Squadron only recently celebrated the shooting down of its 200th enemy plane.

Towards the end of 1942 he was sent to Washington as assistant air attaché to the Polish Embassy to recruit men in the United States and Canada for the Polish Air Force.

When the correspondent finally took leave, he went away with the hope that Major Urbanowicz will soon be shooting down his first Japanese plane and that many more will follow.

On 26th December 1943, Polish Airmen stationed at Blackpool entertained at a Christmas Party 48 children, some from Poland and some born of British-Polish marriages.

THE REASON FOR WHICH WE ARE FIGHTING THIS WAR

To-day, when a most cruel war has been going on for over four years, and when the words "Peace unto men of good will" are deafened by the clatter of weapons, one ought to remember more than ever for which cause and in whose name the world is making those terrible sacrifices. It is well worth while to be reminded of it, as with the passing of time the Allied Nations do not become more conscious of their goal; on the contrary, their consciousness becomes more and more blurred, and now—in the fifth year of the struggle—it is much more dimmed than at the beginning.

For that there are many reasons. Before anything else we know from individual observations that when an argument between two people gets more fierce and more intense, it usually ends up with both sides arguing with themselves and falling into greater and greater fervency, and they finally forget the original cause of their quarrel. If that is the case with individual arguments, how much more so with the terrific fight between nations, where the minds of masses of people are more susceptible to primary effects, and less to logic and reason than the individual.

One must also remember the basic causal relation always existing between the object of "unification" of the world and the war. Each war, in its specific historical period, must be fought on both sides with more or less the same weapons, with the same utilisation of all possibilities, if one adversary wants to be able to resist the other. Therefore, nations fighting each other were not only always compelled to adopt a similar battle technique, but also a mentality and customs corresponding with that technique. Also nowadays when a tank can only be fought with a tank, propaganda with propaganda, total organisation of the enemy's forces with total mobilisation of one's own resources, the results of such a state of affairs are inevitable and obvious: democratic and liberal countries during the hundred years of peace did not assimilate as much with the enemy countries in every way of life as they did during the last four years of war. There again one must not forget that a particular way of living creates a corresponding psychological attitude. Hence gradually, subconsciously and unrecognisably the Allied Nations get used to ways of thinking which a few years ago would have seemed strange to them, and which would have been considered the exclusive property of their enemies.

And therefore I repeat, it is worth while to remember the sense and aim of the present war. Among the everyday sacrifices it is well worth while to make everybody familiar with the reasons for which they have to bear those sacrifices.

There is only one way leading to that which is the right and appropriate one. In the same way in which a child, reciting a poem at school, has to go through it again when it falters, in which a dancer uncertain of his steps loses his rhythm and has to repeat his performance, the United Nations have to return to the beginning of this war so as not to get lost morally. In other words, they have to return to Poland and everything of which she is a symbol.

Consciously, I considered the whole thing in the following way: they have to return to everything of which Poland is the personification. Obviously, everybody will admit that the affection of the British masses towards Poland, deepened to-day by a four-year-old comradeship-in-arms, is far more the result of that comradeship than its original cause. In the far-away British Dominions across the seas, a knowledge of Poland and her affairs before this war was even smaller than it was in England. If, therefore, the German attack on the Polish Republic called to their arms Canada, Australia, New Zealand, if its echo resounded as a bugle-call in Newfoundland and the Cape of Good Hope, it was for just that reason that it was not only in Poland's cause they were fighting, but in the cause of something common to all which she represented. That "something" is the most basic thing and, at the same time, the most simple. It is the feeling that a more numerous and stronger nation has no right to attack and seize one which is weaker; the feeling that each historical nation with its own cultural achievements has a right to develop this heritage in freedom and peace and must not be handed over as booty to a more powerful neighbour who happens to be dissatisfied with his share.

These principles, in whose name Britain gave a guarantee to Poland and several other nations, principles in whose defence she drew the sword in September 1939, are something far more penetrating and lasting than some modern ideological slogans. They are the essence of our civilisation, the fundament on which it is erected.

They even go back to historical experience, derived from ancient Greek records, *i.e.* that the territorially and numerically small Republic of Athens occupies a more important place and shines with a brighter glory in the history of the human race than her most powerful contemporary empires of barbarians. Those ideas were also bequeathed to us by the tradition of Roman civilisation, which so precisely established the fact that violence and legal justice are two entirely different things, a civilisation which showed itself to be immortal in the saying, "Victrix causa placuit diis, sed victa Catoni." But before everything else this method of thinking was established and deepened by Christianity.

Christianity, by honouring the creator and sovereign of all worlds in a man who fell under the burden of the Cross, once and for all put the authority of moral strength above a cult of material violence.

By fighting slavery and recognising equality between the rich and the poor, Christianity once and for all crossed out the division of nations into those of masters and those of servants. It also established, during the many struggles between popes and emperors which lasted for centuries in the European nations, the feeling of their sovereignty which, in the classical definition of international law, is nothing else but an "independency in secular affairs."

It was Christianity which undertook the work of creating a fellowship of a higher rank than that of destroying the sovereignty of individual states. Through its behaviour and development towards which the only way is acknowledgment by all of the same moral code which introduces order into their mutual relationship and guarantees independence to everybody, Christianity tried to create that fellowship. This explains the historical paradox that the moral unification of Europe reached its highest peak when Europe herself—at the end of the Middle Ages—was like a colourful mosaic, serenely keeping the individuality of every nation, of political movements and customs.

foto. Bielec.

"Good Luck." Girls of the Polish section of the W.A.A.F. reading messages of congratulation after having "passed out" on the completion of their course of training.

But just for the reason that these ideas and principles for which the fight was begun are the basis of our civilisation to such an extent, we are horror-struck when we occasionally hear certain slogans. For example, it is being repeated more and more often that the real reason for the present war is the existence of independent smaller countries, therefore they have to be enslaved, put under the control of their greater neighbours to save humanity from new wars and catastrophies. Listening to such reasoning, one begins to ask oneself whether Czechoslovakia — after Munich — was such a threatening and martial power to send her tanks unexpectedly and cunningly to attack Germany at night? Did Poland, on 1st September 1939, invade the peaceful Third Reich, and, seventeen days later, defenceless Russia? Denmark's continuous armament, Norway's intentions of conquest, the militarism of Belgium, Holland, Latvia, Estonia—were they that dynamite which destroyed Europe's peace and plunged her into the greatest bloodshed ever experienced in history? Greece, finally, did she one night—with a three-hours' ultimatum—under the threat of war request from a surprised Mussolini to hand over immediately his naval bases of Naples, Genoa and Trieste?

But if—as it seems to some people—the sin of smaller countries was that of arousing the greed of their stronger neighbours, then the preventive means mentioned above cannot be considered as the right ones. Obviously, if a gang of highwaymen attacks travellers on public roads, taking away their purses, one can frustrate their intentions by confiscating in advance the money of honest citizens. But a similar way, however effective, cannot be recommended as the most just one. . . .

These same evil powers which now, greedy for booty, attacked their weaker neighbours, exhausted their diplomacy and propaganda in the previous twenty years to heat mutual conflicts and hatred. In this respect the political history of post-Versailles Europe is rich in examples. If anything, therefore, can be regarded by us as a lesson from the present war it is the suggestion, obvious to all countries of medium and small size, to stand together in the defence of their independence, forgetting all interior misunderstandings.

We can safely say that the aim of this war is a closer union of nations, but a union of a definite character and of a completely distinct and precise aim. It does not concern a group of nations in which one could take the "leadership" over the other nations, but only those who could secure for each other the most complete and most efficient preservation of their independence and individuality. We want to be united—not because we are tired of being ourselves and because we decided to disappear into a new and larger melting-pot, but because we want to remain faithful to ourselves, our own creative individuality, our own tradition.

Because that type of community will have as its aim not a weakening but an upkeeping of national individuality of each one of its members, such a community only must become the source of real feeling of friendship and trust. It is clear that he who loves something or some one cannot wish for a substitute, in the same way as it is no proof of attachment to the ancient residence of one's ancestors if one wants to destroy it to erect a new building in its place. (By the way, for that psychological reason, I have always certain doubts with regard to the feelings of those people who take as their slogan not simply Poland, but—let us say—New Poland.)

If, therefore, nations unite themselves to defend their countries, regardless of their own traditions, their forms of organisation and customs, they will learn easier how to like and esteem each other than if they were trying to change each other.

And now is the time to mention the fundamental truth about the (on our part) real sense and character of the present war, nowadays so often contorted and passed over in silence. For us, as we Poles understand it, that struggle is and was from its very beginning a fight for the maintenance of certain most sacred treasures, a fight, chiefly, of self-preservation and defence.

I repeat: we have no reason to be ashamed of that statement, for if the statutes before 1939 should have been some mad thing, fundamentally impossible to be put into action, it would be difficult to blame Hitler for having upset such a state of affairs.

However, just because the Allied Nations are certain that in 1939 the world could live in peace, that at that time order, though imperfect as everything human, could have been improved gradually without bloodshed—they have a moral right to demand a punishment for those criminals whose "egoism and mad pride" plunged humanity into mourning.

"Egoism and pride"—here at last we arrive at the core of the whole thing. The reasons for the collapse of pre-war order were not structural, but moral. Without, therefore, overthrowing those moral fundaments, there can be no hope for rebuilding. The war began as a fight against conquest, against the aggression of the strong, the cynical violation of pacts and the law. It would only be a crime, a senseless death of millions of people, if as a result of this war the opposite custom could not win — the same laws for strong and weak, a freedom of nations, loyalty in keeping of pacts.

Jan Rembieliński.

MARGINALIA ON REYMONT'S "PEASANTS"

Towards the end of a conversation in a London office, when the editor was drawing conclusions about the problems of Central Europe, my attention was caught by the red design on a book jacket. A symmetrical branch with two primitive cocks in profile, facing each other. Possibly the original of this design had been cut from a folded piece of red paper by the strong hands of a Polish peasant woman. Something made me pick up the book.

"The *Peasants* by Reymont," remarked the editor, seeing that no further attention was being paid to his speech. "A new edition printed in Great Britain."

I had read the book twenty years ago. Story of Mathew Boryna's family and life in the village of Lipce, it begins in the autumn and continues in four volumes through the four seasons of the year.

"You will have it back in a few days," I promised on leaving.

Autumn. Yes, who has not seen it in the village life of Poland. . . . ?

Behind the corner of bombed and battered houses stretched a large square, with a small statue which must help to give London strollers the feeling of a romantic park.

The prudence of a fairly new Londoner made me look for and read the name "Berkeley Square." Which particular Berkeley is concerned I don't know, but the word is one which always carries me back to the days at Warsaw University, when I first came in contact with the philosopher Berkeley and his system. That great idealist, who saw the world as being a product of mankind's imagination—millions of individual imaginations—and spoke consolingly at the same time of one single objective reality seen through the eyes of Providence—this man had tugged at my own imagination, and his pages attracted the eyes as a glass attracts the mouth of a reveller who between swallows will mutter *in vino veritas*, and all the time have his head turned more and more.

The small student room appeared to me then just like that individual world, limited, shut in; and rebelling against the four walls my sole wish was to get out of a world which was restricted to one's own knowledge, to get out of one's self and plunge into a larger spirit, to become attached to an objective reality, but something more accessible than that highest peak of superhuman knowledge. Some years later I found it, or so I believed, in the national spirit.

In Berkeley Square the wind sighed and autumn leaves whispered through the mist; they whispered that it was autumn in Poland too; that nearly every day cold rain fell and puddles on the roads shone like mirrors in the afternoon light. And what would be happening in Lipce? Harvesting over, the fever of work is past. Old Mathew Boryna, already a widower but still a stalwart, is marrying beautiful young Jagna, with her corn-coloured hair twisted twice round her head, forming a double crown. The village is buzzing like a market place. The church bells having been rung, music pours out of the mayor's house into the road. Violin and flute, tambourine and double bass. The musicians are decorated with ribbons. Behind them comes the male procession of well-built youths, tall as young trees, slim in the belt and spreading widely at the shoulder; ardent dancers and talkers all of them, strong fighters who make way for no one. This band of farmer's sons marches in the middle of the road shoulder to shoulder, and it is so well dressed that the many coloured stripes of the trousers, the red jackets, and festoons of ribbon fixed to

the hats, play up to the sun. The white overcoats carried out by the wind move like wings. And the swishing noise as these lads go marching past is like the noise of an uprooted young forest flying with the storm.

After the procession they have a good time, good things to eat and drink. Such good things to drink that the old women begin to joke, giving advice to the bride, about how her husband must be treated, the need for warming his eiderdown by the fire every evening and making him eat plenty of fat for his strength. In vain the miller's wife draws attention to the young girls and children. In vain the old organist draws morals from his Latin books.

"He's rubbing himself against the priest!" says a mocking voice. "He takes himself for a saint."

And they dance. They dance the Cracoviac, its broken, tinkling tune planted with snatches of song, like a leather belt studded with metal.

Follows another dance, the Mazur—long as grass boundary strips between the fields, and spreading as the pear tree . . . gliding and severe, dignified, but tough and unrelenting as the peasants themselves. The latter, in compact band, are like a tall forest as they crash with staccato shouts into the dance. A hundred with such force could march against a thousand.

And then the Oberek—short, broken, whirling, inflamed, crazy, swaggering, plaintive, pulsing with hot blood, generous and full of love . . . so that tears flow over laughter, the heart sings with joy, the soul is torn with a longing that reaches over the wide plain and distant forests, to go out into the whole world dreaming.

There is so much dancing that finally old Mathew seizes his Jagna by the waist and launches forth. Strongly, widely, from wall to wall he sweeps, pausing now and again in front of the musicians to toss them a silver piece, and singing himself as he goes.

"Oh Mathew, you Grzela and Anthony are not known abroad; although you are spoken of, sometimes well, sometimes not well. I don't know if you are good or bad, too conservative or too radical, but what does it matter to you anyhow? Stay as you were and are, with the background of your countryside, with your spirit, customs, colours and tastes."

But Mathew does not have long to rejoice in his married life. Spring finds him in bed. And although the land is taut like the breast of a young nursing mother, although clouds chase each other across the sky like geese, although the hay is already in stacks which are huddled together as closely as the good neighbours sitting in doorways exchanging the news of the village, he cannot get over his illness. Death is approaching, and with his room full of moonlight the old farmer murmurs "It's daytime." He gets up and goes his rounds. To the horses, to the cows, followed everywhere by the delighted dog. Then he goes out to the fields. "It's time for sowing," he mutters. In the fever of death he takes earth into his shirt and stalking over the fields, sometimes limping, slipping or stumbling, he takes the earth in his hand and with ritual movements he sows. He sows and sows, until the moment when all the earth cries out to him, "Stay, stay with us." And it seems to him that everything moves, marches towards him—grass, corn swaying in the wind, the earth itself. Suddenly the sky opens in front of him and he hears a voice, "Come to me, tired man."

Mathew falls and is buried in the earth . . . like a plough.

When an old oak like that falls, the heavy, sad question of dividing his land at once arises.

What would the conversation be like between elderly Belica, the blacksmith's wife, and old Rocho?

"I remember when Lipce in the old days had only fifteen farmers."

"And now there are forty."

"And new ones wait already for the division; a year may be fertile or it may not, but people are always growing, aren't they?"

"Aye, and when the boys get married their children will have no more than an acre each."

"They'll have to go out into the world."

"And what will they take with them? Their bare nails to rake the wind."

They did, however, go. Certain people to-day remember when they went empty-handed to America, in spite of the cost of the journey. More and more went, up to the day when America closed her doors. Then, as everyone knows, they went to Western Europe, where there were heavy industries, and so it continued until the present war, as there was not enough industry in the country to transform the overflow of peasants into factory workers.

Certainly during twenty years of independence the situation improved daily. The country was becoming more industrialised. The land reform came about, and one could always borrow money to buy ground.

But to go back to the story of Lipce and Poland of forty years ago, when life was still harder, there is a small bit of land near the forest, land bordering on the fields of the village, and not far from water. The landowner wants to sell it for ready cash, provided the peasants make a little too. But it is not so easy and time is short. German colonists appear with money. When the people of the village start grumbling the chiefs of the German colony reply, "The land belongs to those who buy it."

The farmers try without success to dissuade the Germans from purchasing. In vain they reply that the land belongs to those with ten fingers to work it and who have not enough fields of their own. It nearly arrives at the point of a free fight, so much so that old Rocho, fearing the arrival of the Russian police and the arrest of the peasants, has to smoothe things over. This is how it is in Reymont's *Peasants*.

Since then, as we have said, things got much better. The sky over Poland began to clear.

Now there are more clouds. There is only one hope for Polish skies—Polish pilots. Among them are many peasants, sons of all those Mathews, Antonys and Rochos. Perhaps at the daily work a sound of their engine running makes them think of their own forest music, and they hear Rocho's warm voice saying, "Don't worry, boys, one day things will be better. . . ."

Victor Stan.

foto. Bielec.

Mother and two daughters serving with the Polish section of W.A.A.F.

foto. Bielec.

During an inspection at the end of one of their courses. Air Marshal Sir Alexander Barrett chats with one of the Polish women serving the Polish section of the W.A.A.F.

Exide BATTERIES

Wyrabiane w największych wytwórniach baterii w całym Brytyjskim Imperium.

THE CHLORIDE ELECTRICAL STORAGE CO. LTD.
Grosvenor Gardens House, Grosvenor Gardens, London, S.W.1
Cables: Chloridic, London

NA KWATERZE

Na podstawie opowiadania kpt. B.

Zamaskowane samoloty nocowały w cieniu drzew. Dowództwo 24 eskadry bombowej kwaterowało we dworze, załogi w szkole. Wieści z frontu były krzepiące. Niemcy ponosili wielkie straty w czołgach, samolotach, a nadewszystko w ludziach.

Porucznik Jan Bzura był zmęczony. Ewakuacja z Rakowieckiego lotniska na polowe lotnisko w Klimontowie; trzeba było wszystkiego dopilnować, dopatrzyć, w porę zadysponować. Gorący dzień wrześniowy. Na kolację we dworze podano kurczęta z mizerią i białe francuskie wino, a starsza dystyngowana pani opowiadała coś bardzo ciekawego, czego się nie chciało słuchać. Później radio ze swoimi "uwaga, uwaga, B.18 przeszedł" i wielosłownym bohaterskim patosem. Bzura spał wszystkiego parę godzin i od piątej był znowu na nogach. O szóstej dwie maszyny startowały na rozpoznanie. Z grzmotem silników zatoczyły łuk nad wsią i folwarkiem, potem poszły każda w swoją stronę.

W eskadrze mówione coś o bombardowaniu. Zgadywano, jaki cel i które załogi polecą. Około dziesiątej przyszedł rozkaz. Na Częstochowę idą niemieckie zmotoryzowane kolumny. Bombardować z niskiego pułapu. Podwieziono bomby. Setki pod skrzydła – pięćdziesiątki w kadłub. Załogi wciągały kombinezony, szelki, hauby. Obserwatorzy przeglądali mapy. Wyprawę sześciu maszyn miał prowadzić Bzura. Trudno było określić, jakimi drogami idą te niemieckie kolumny. Rozkaz nie wspominał o tym nic, mówił tylko, że na północo-zachód od Częstochowy i że cel jest prawdopodobnie chroniony przez osłonę myśliwską.

Bzura ponumerował wszystkie drogi w rejonie celu i zdecydował się wysłać jeden samolot na rozpoznanie. Zadanie: rozpoznać cel i podać przez radio numer drogi po której posuwają się Niemcy. Na to zadanie wystartował z załogą por. obs. Raszkowski. W kilka minut po nim startowało kolejno sześć obładowanych bombami Karasi. Pierwszy startował Bzura z doskonałym pilotem por. Siewierskim i strzelcem kpr. Pawlakiem. Obładowana bombami maszyna oderwała się ciężko i przepłynęła nad czubkami drzew parku. Za nią poszła druga, trzecia i wreszcie ostatnia. Tumany kurzu wzbiły się nad rżysko jakby zerwane nagłym podmuchem trąby powietrznej.

Mechanicy stali grupkami i patrzyli za maszynami, przysłaniając dłońmi oczy, bo leciały pod słońce.

Na błębitnym niebie nie było widać żadnej chmurki, drzewa i domy skąpane w letnim słońcu zdawały się radować ciepłym dniem. Na rżysko wybiegł owczarski pies i podniecony niedawnym hałasem węszył chwilę tu i tam, jakby szukając sprawcy tych dziwnych rzeczy, które się tu działy.

Brzęk silników malał, cichł, niknął. Ostatnia maszyna rysowała się już tylko małym punkcikiem, który rozpłynął się na niebie czystym i turkusowym jakby przedmiot rzucany w przepaść bez dna.

Od Prószawic pójdą kluczem – zauważył brygadier maszyny por. Bzury.

Mechanicy zwolna rozchodzili się do zajęć.

Był to pierwszy bojowy lot por. Bzury. Długie lata ćwiczeń, wojskowej szkoły, ba, od dzieciństwa wchłanianych legend, tradycji, nakazów, urabiały go do tego, by teraz najlepiej jak tylko można wykonać ten bojowy rozkaz.

Uczucie, którego doznawał, było dalekie od strachu. Raczej była to trema, wielka trema, czy aby wszystko pójdzie tak jak powinno.

Wiedział, jak trudno jest trafić w cel tak wąski, jakim jest szosa. Trzeba go brać naukos, pod kątem, ale pod kątem niezbyt wielkim, bo w przeciwnym razie najwyżej dwie bomby dadzą efekt, a reszta pójdzie na marne. Pozatem należało znaleźć cel odrazu, bo myśliwcy mogli wszystko udaremnić. Poto poleciał Raszkowski, ale czy aby Raszkowski czego nie pokręci i czy, co najważniejsze, będzie można nawiązać z nim łączność.

Z przyziemnego oparu, który zasnuwał horyzont bladą mgłą, wyłoniły się kontury Prószawic.

– Prószawice pod nami – zameldował pilot.

Maszyna położona w lekki wiraż okrążała miasto.

– Trzeba będzie zrobić ze dwie rundy, zanim tamci dołączą – pomyślał Bzura. Chciałby, żeby to było już prędzej. Każda minuta zwłoki wydawała mu się niezmiernie cenna. Idąca z tyłu maszyna dołączyła do lewego płata i weszła w rundę razem z maszyną Bzury. Wkrótce potem dołączyła trzecia. Należało jeszcze czekać na uformowanie się drugiej trójki. Do celu mieli iść szykiem zwartym, co w znacznej mierze wzmacniało obronę przed myśliwcami. Nad celem mieli się rozejść, bombardować, każdy na własną rękę, większe zgrupowania i tuż nad ziemią, lotem koszącym, wracać na lotnisko.

Wreszcie dołączyły pozostałe maszyny i Bzura podał kurs na Częstochowę. W dole przesuwała się szachownica chłopskich półetek, lasków, małe pudełeczka domów i kopczyki stogów. Wysokościomierz wskazywał 1200 m. Powietrze było rześkie, wolne od spiekoty rozgrzanej ziemi.

Maszyna szła równo, lekko przypadając na ustępujących prądach, jakby samochód jadący po idealnie gładkiej szosie na łagodnych wklęśnięciach nawierzchni. Samoloty szły ciasno, skrzydło w skrzydło.

Z mapy wynikało, że najdalej za dziesięć minut powinno być już widać Częstochowę, kiedy Bzura przypomniał sobie o obietnicy danej matce.

Sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyjął z niej mały portfelik. W bocznej kieszonce portfeliku Bzura przechowywał złoty medalik Najświętszej Panny Marii z Lourdes, który otrzymał od matki, kiedy był jeszcze małym chłopcem.

Bzura patrzył chwilę na medalki, potem obejrzał się na strzelca, czy nie patrzy i pocałował go ukradkiem, jakby wstydząc się sam siebie.

– Przed nami chmury, pułap jakieś 1300 – rozlegał się głos pilota.

Bzura pospiesznie zaczepił łańcuszek medalika na bombardierskim celowniku i spojrzał w kierunku lotu.

Zdala ciągnął się wał chmur.

Była to okoliczność o tyle dobra, że w razie czego było się gdzie schronić przed myśliwcami.

Należało spróbować nawiązać łączność z Raszkowskim. Bzura włączył radio i przekręcił pokrętką aż wskaźnik pokrył się numerem częstotliwości. W słuchawkach rozległy się trzaski i wyraźny głos mówcy, "Achtung, Achtung" i jakieś słowa po niemiecku.

Inne fale były zajęte również. Wszędzie twarde niemieckie słowa przekazujące rozkazy operacyjne niemieckim jednostkom na ziemi i w powietrzu. Mała selektywność aparatu uniemożliwiała wyeliminowanie tych rozlicznych wrogich głosów, zalewających przestrzeń.

Było w tem coś groźnego. Bzura przekręcał pokrętką maleńkimi ruchami, starając się uchwycić wyznaczoną falę. Upływały minuty i kiedy już zniechęcony chciał zrezygnować z beznadziejnych prób, usłyszał głos wychodzący jakby z głębi, z za trzasków i niemieckich głosów: uwaga 24, uwaga 24, mam zablokowane stery, ląduję, uwaga numer... Tu głos zapadł się i znów było słychać tylko twarde niemieckie słowa.

Bzura włączył mikrofon na nadawanie i wołał: – uwaga 24, uwaga 24, który numer powtórzyć...później znów: uwaga 24, uwaga 24, powtórzyć numer celu, numer celu.

W dali zarysowały się przedmieścia Częstochowy. Pułap chmur schodził tu do 800 m. Trzeba było schodzić.

– Co mu się u diabła stało, żeby tylko odrazu wyjść na te kolumny – myślał Bzura, porównywując mapę z przesuwającym się w dali terenem.

Przechodzili nad skrajem miasta. Na północ zachód w stronę granicy niemieckiej szły dwie szosy, które w jednym miejscu schodziły się razem, tworząc widły.

Nagle Bzura ujrzał cel. Obu szosami posuwały się ciemno zielone plamy czołgów i samochodów. Szły łańcuchem gubiącym się hen, poza zasięgiem wzroku, jakby jakieś owady ciągnące na swoją tajemną wyprawę. W widłach szos stały kolumnami, w równych odstępach, bezpieczne jakby w oczekiwaniu na paradę, czołgi, samochody, ciągniki, jeszcze działa. Pomalowane na kolor ciemno zielony w plamy szare i czarne zlewały się niemal z otoczeniem.

Teraz zadanie miał każdy wykonać sam i sam wracać.

Samolot Bzury schodził piką w dół, pilot naprowadzał na cel pewną ręką. Bzura wlepił oczy w celownik i czekał. Powoli nadchodziła szosa i zapchane czołgami widły. Poprawka na wiatr i jedno rzucone pilotowi: – trochę w lewo – później nie wiedzieć kiedy palce same nacisnęły na zwalniacze i bomby poleciały w dół. Gejzery czarnego dymu i wyrzuconej ziemi buchnęły rzędem jeden za drugim, poprzez ten natłok plamistych żuków oczekujących w porządnym szyku na swój czas do marszu. Wzdłuż drogi wyrosły nowe gejzery wybuchów bomb drugiego samolotu. Na dole ludzie jak mrówki wysypali się z drogi na pola. Karabin strzelca rozegrał się długimi seriami, smagając wiązkami kul rozbiegłe mrowie. Zostały jeszcze dwie bomby. Por. Bzura zamarł nad celownikiem. To wszystko odbywało się mimo jego jakby na taśmie filmowej. Osobiste działanie było w tym wszystkim oderwanym od jego woli fragmentem branym z niego, jak coś koniecznego dla całości, w której on był prawie niczem.

Zdał sobie z tego sprawę dopiero po chwili, kiedy przyszła nań jak błysk uświadomienia, że to właśnie to, do czego szkolił się długimi latami i co jest takie niezwykle proste.

– Jeszcze mamy dwie bomby, schodzimy – rzucił pilotowi.

Teraz wraz z ocknieniem z działań wyuczonych, automatycznych, przyszło pragnienie ulokowania tych pozostałych dwóch bomb w jakimś specjalnie ważnym celu, jakimś celu, którego zniszczenie będzie miało wagę wielką, będzie zdolne zahamować tę nieskończoną wędrówkę szaro-zielonych żuków.

Pod samolotem przesuwała się wstążka szosy, coraz bliższa, coraz bliższe samochody, czołgi, działa i zielone figurki w dużych kopulastych hełmach, biegające bezradnie, w popłochu.

Cel wyrósł niespodziewanie. Nawrócił na niego pilot bez rozkazu, sam. Bzura przywarł do celownika: koło murowanego domu tuż przy szosie, nabite samochodami podwórko i tłum żołnierzy z zadartymi do góry twarzami. Te obrócone w górę twarze ostro odbijały swoją różowością od bezbarwności tła, było ich dużo, były stłoczone w gromadki po kilkanaście, po kilkadziesiąt. Bzura położył rękę na zwalniaczach.

– Boże, żeby nie za prędko, żeby w porę. Boże spraw, żeby poszły w cel – szeptał Bzura sprężony w sekundach oczekiwania. Palce nacisnęły na zwalniacze. Bomby ciężko oderwały się od skrzydeł i popłynęły w dół. Żeby w cel, żeby w cel, o Boże – szeptał półprzytomnie Bzura. Dwa potężne słupy ziemi, cegieł, dymu, części samochodów i poszarpanych ciał buchnęły w górę przysłaniając wszystko.

Samolot zszedł nisko, gdzieś górą przemknął Heinkel z wielkimi krzyżami na kadłubie.

– Uwaga! samolot niemiecki! – krzyknął pilot do zagapionego na szosę strzelca. Heinkel przeszedł nieostrzelany.

Bzurę już teraz nic nie obchodziło, czuł tylko wzbierające przemożne zmęczenie. Nie wiedzieć jak zasnął. Obudził się na chwilę tuż nad lotniskiem i znowu zasnął. Dopiero kiedy samolot uderzył kołami o ziemię, rozbudził się na dobre. Czuł się szczęśliwy jak mało kiedy.

St. Sęp-Szarzyński.

Komitet Zarządzający OGNISKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządza w każdą sobotę o godz.18.30 w budynku Ogniska przy Belgrave Square 45, S.W.1 wieczorki dla wojska, lotnictwa i marynarki. Na wieczór składają się: część muzyczna, wspólna kolacja i zebranie towarzyskie.

Na wieczory te Zarząd Ogniska Polskiego zaprasza wszystkich żołnierzy, lotników, marynarzy i ich przyjaciół. Wstęp bezpłatny.

Aircraft Engineering

ZAŁOŻONY w 1929 r.

Techniczny i naukowy miesięcznik lotniczy

redagowany przez
Lt.-Col. W. Lockwood Marsh,
M.S.A.E., F.R.Ae.S., F.I.Ae.S.

Pojedyńcze numery sh. 2/3—
Wysyłka bezpłatnie

Prenumerata rocznie 26s. 0d.
Poczta bezpłatnie

12 Bloomsbury Square
London - - W.C.1

Coraz powszechniej używają Oficerowie
PASTY
NUGGET
WOJSKOWY BRĄZ
(w pełnym tonie koloru)
dla nadania swym bucikom pięknego połysku i elegancji

Rownież w kolorach czarnym i ciemno-brąz.

Produkcja zmniejszona – używajcie oszczędnie.

LOTNICTWO KOMUNIKACYJNE

MOSQUITO BEZ ŻĄDŁA

W ostatnim tygodniu cenzura zezwoliła na opublikowanie wiadomości, że znany ze swych wyczynów, jako samolot rozpoznania, lekkiego bombardowania i nocny myśliwiec Mosquito de Havilland pełni również służbę jako samolot pocztowy BOAC na linii Anglia-Szwecja. Pocztowe Mosquita pełnią regularnie służbę już od kilku miesięcy z jaknajlepszymi wynikami. Kilkakrotne spotkania nieuzbrojonych pocztowych Mosquito z niemieckimi samolotami myśliwskimi, potwierdziło raz jeszcze zasłużoną opinię Mosquito jako najszybszego samolotu świata. Piloci oświadczają, że dzięki znacznej przewadze w szybkości, nie mieli żadnych trudności w oddzieleniu się od ścigających myśliwców.

NOWY SUKCES "AVRO"

Znana wytwórnia samolotów A. V. Roe (Avro) może poszczycić się jeszcze jednym sukcesem. Tym razem jest to samolot komunikacyjny, który pod nazwą "YORK" rozpoczął pracę w Transport Command R.A.F. York jest dalszym rozwojem znanego bombowca "Lancaster", jakkolwiek ze względu na specjalne warunki, jakim odpowiadać musi samolot komunikacyjny zarówno w budowie kadłuba, skrzydeł, opierzenia i podwozia różni się nieco od swego sławnego, starszego brata. Dokładny opis "York" zamieszczony jest we *Flight* Nr. 1824 i *Aeroplane* Nr. 1698, jednakże pan minister Anthony Eden, w swym wywiadzie udzielonym prasie, wspomniał, że na trasie Kairo – Teheren, samolot "York", miał szybkość (ground speed) około 240 mil.

CZYŻBY ZMIERZCH TRANSATLANTYCKICH LINERÓW NAWODNYCH

Znany przemysłowiec amerykański Kaiser oświadczył, że zamierzona przez niego linia lotnicza transatlantycka będzie w stanie przewozić pasażerów z Europy do Ameryki w czasie krótszym niż 20 godzin, za cenę 108 dolarów. Cena ta jest niższa od ceny jaką pobierały okręty pocztowo-pasażerskie i jest czterokrotnie niższa od ceny jaką pobierały szybkobieżne okręty jak "Queen Mary" lub "Normandie". Jakkolwiek część prasy amerykańskiej, zwłaszcza prasy fachowej

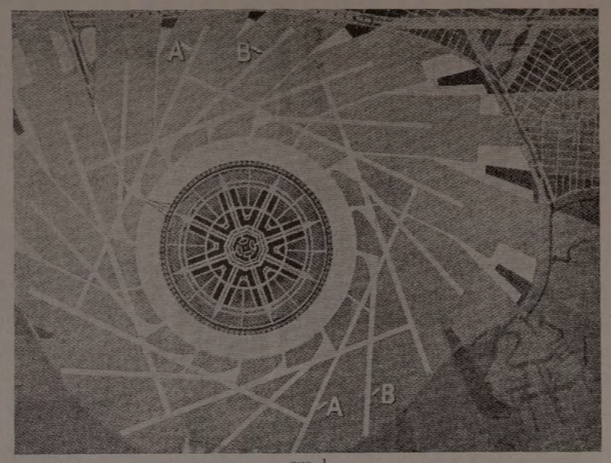

rys. 1.

odnosi się z niedowierzaniem do w.w. oświadczenia, musimy pamiętać, że pan Kaiser jak dotąd nigdy nie rzucał oświadczeń na wiatr, a w dziedzinie budowy okrętów ustalił rekordy, które poprzednio były nie do pomyślenia i które również były podawane w wątpliwość przez prasę fachową (morską). W wypadku, gdyby pan Kaiser i tym razem dowiódł możliwości przeprowadzenia swego projektu, cały ruch pasażerski transatlantycki przeszedłby z okrętów na samoloty.

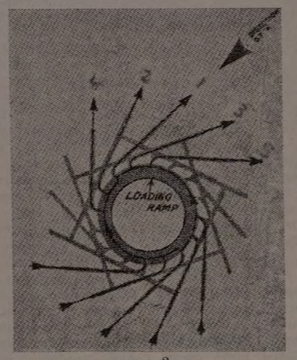

rys. 2.

NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM, A JEDNAK...

Po raz pierwszy w historii brytyjskiego lotnictwa komunikacyjnego, obowiązki steward'ów na samolotach BOAC zostały powierzone przedstawicielom płci pięknej. W chwili obecnej trzy stewardes'y pełnią służbę a dalszych pięć odbywa przeszkolenie...

Pielgrzymki do grobu Mahometa w Mecce, trwają już od kilku wieków, nie jest więc nowością, że grupa zamożnych obywateli, mahometan, wybrała się z Tunisu do Mekki. Nowością jest tylko to, że grupa, złożona z 25 mahometan odbyła swą pielgrzymkę drogą powietrzną na samolotach pasażerskich.

PROJEKT LOTNISKA DLA NEW YORKU

Na nowe lotnisko komunikacyjne Indlewild (New York), została preliminowana suma 150 milionów dolarów. Budowa ma być ukończona w 1944 roku. Ciekawie przedstawia się projekt rozwiązania możliwości usuwania jednocześnie kilku runway'i. Projekt przewiduje umieszczenie dworca lotniczego i hangarów w centrum lotniska (dojazd podziemnymi tunelami) i runway'e biegnące stycznie do otaczającego dworzec parimentru. Rysunek (1) przedstwaia plan lotniska Idlewind z ranway'ami stycznemi. Rysunek (2) przedstawia możliwość używania jednocześnie aż pięciu runway'i, przy danym kierunku wiatru. Samoloty bardziej czułe na wiatr boczny używałyby runway'e numer 1, 2, 3, zaś samoloty mniej czułe na wiatr boczny, używałyby runway'e numer 4 i 5. Lądowania na wszystkich runway'ach są przewidziane dośrodkowo to jest w kierunku na dworzec, starty przewidziane są odśrodkowo, to jest od dworca. Długość runway i głównych (oznaczonych litrą (A) na rysunku (2) wynosić ma 10.000 stóp, długość runway i pomocniczych) oznaczonych literą (B) na rysunku (1) wynosić ma 6.000 stóp.

Bolesław Pomian.

Zarząd Sekcji Londyńskiej Związku Dziennikarzy R.P. *komunikuje, iż w dniu 20 grudnia* 1943 *r. odbyło się w Londynie posiedzenie Zarządu powołanego w dn.* 4. *grudnia* 1943 *r., na którym wydział Sekcji ukonstytuował się w sposób następujący :*

Prezes – Dr. Zygmunt Nowakowski,
Wice-Prezesi – Adam Ciołkosz i Kazimierz Smogorzewski,
Sekretarz – Bolesław Wierzbiański,
Skarbnik – Andrzej Płodowski,
Członkowie – Tymon Terlecki, Emil M. Rojek, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Tadeusz Horko.

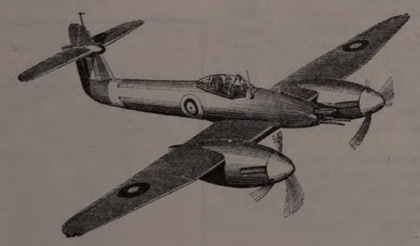

THE
WHIRLWIND
FIGHTER-BOMBER

Designed and Constructed by

WESTLAND AIRCRAFT LTD.

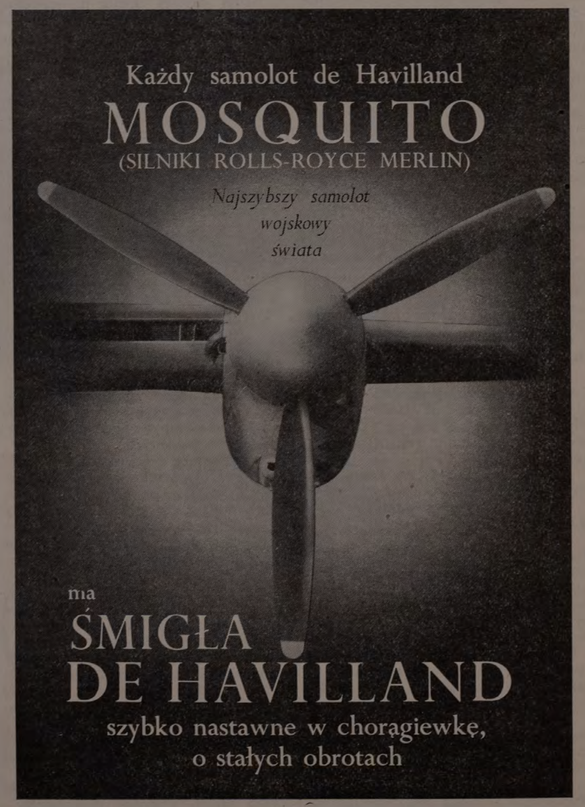

Z LOTNISK I ZE STACJI

Dwutysięczna mina

Od samego rana było wiadome, że dziś mamy "niską wojnę". O godz. 15-30 wchodzimy do sali odpraw. Rzut oka na operacyjną mapę potwierdził nasze przewidywania. Trzy czerwone wstęgi biegną w załamaniach poprzez Anglię, Kanał i kończą się gdzieś głęboko na nieprzyjacielskich terenach. Są to rejony naszej działalności operacyjnej na dzisiejszą noc. Podchodzę do mapy i szukam guzika z literą naszej maszyny. Jest !

Tymczasem rozpoczęła się odprawa. Ma ona dziś specjalnie uroczysty charakter, gdyż dzisiejsza operacja ma dopełnić ilość min położonych przez nasz Dywizjon do dwóch tysięcy. Na tę uroczystość przybyło pięciu oficerów z Admiralicji. Najstarszy z przedstawicieli Królewskiej Marynarki rozpoczął odprawę przemówieniem. Mówił długo i spokojnie. Ja osobiście nie wszystko zrozumiałem z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że głos jego był cichy i niezbyt wyraźny, a po drugie, moja znajomość języka angielskiego daleka jest od doskonałości.* Zrozumiałem tylko tyle, że bardzo często zaznaczał o naszym wybitnym udziale w "walce o Atlantyk". Następnie wymienił długie szeregi nieprzyjacielskich okrętów i łodzi podwodnych, zatopionych przez nasze i brytyjskie miny. Specjalnie uwypuklił ostatni okres naszej działalności operacyjnej, kiedy to postawione przez nas miny, zniszczyły : łódź podwodną, jeden transportowiec i cztery mniejsze wojenne jednostki nieprzyjaciela. Później nastąpiła długa odprawa, ze wszelkimi potrzebnymi szczegółami, dokładne przygotowanie się załóg, zwłaszcza nawigatorów i odjazd do messy oficerskiej na operacyjną herbatę z jajkiem.

O godz. 17-18 Wellington "R" – jak Robert, obciążony ładunkiem, z trudem oderwał się od lotniska i po przepisowym okrążaniu bazy, rozpłynął się na horyzoncie.

Zapadający zmrok zastał nas w czasie przekraczania południowych brzegów Anglii. Pogoda była znacznie lepsza niż zapowiadała meterologia : pokrycie od 2 do4/10. Na tle jarzącego się gwiazdami nieba, wyłonił się, z za chmurki, cienki skrawek księżyca i lekko rozjaśnił mrok nocy. W jego poświacie srebrzyło się wspienione morze, miotane przez gwałtowne porywy wiatru. Białe grzebienie fal usiłowały uchwycić i przyssać się do podbrzusza bombowca, lecącego nisko nad wzburzonym morzem. Nieodstępny cień Wellingtona biegnie niestrudzenie z prawej strony, przeginając się na pofalowanej powierzchni wody. Czasami, ciemne wnętrze samolotu rozświetla wciskający się ukradkiem przez wieżyczkę astro, srebrny promień księżyca i załamawszy się na metalowej ścianie, gaśnie. Innym razem ślizga się pieczołowicie po twarzy strzelca, lub bombardiera, wyłaniając z ciemności ostrą, nieruchomą sylwetkę.

Wkrótce księżyc tonie za horyzontem. Robi się zupełnie ciemno. Tylko w maszynie, przed pilotem błyszczące fosforyzującym światłem zegary, wskazywały potężny wysiłek Wellingtona niosącego kilkutysięczny ciężar w swych trzewiach, oraz mdłe światełko przy stole nawigatora, czuwającego nad tym, ażeby ładunek był wyrzucony w ściśle nakazanym miejscu.

Po czterdziestu paru minutach lotu, z ciemności zaczął wyłaniać się nieprzyjacielski brzeg z czujną nadbrzeżną obroną, czekającą aby otworzyć ogień. Już dawno radiolokacja niemiecka namierzyła napewno naszą maszynę, jej kurs, szybkość i wysokość. Artylerzyści mają oddawna uwzględnione nastawy na celownikach dział przeciwlotniczych i karabinów maszynowych. Czekają aż znajdziemy się na odległości strzału.

Przed nawigatorem, na stoliku nawigacyjnym leży mapa terenu nieprzyjacielskiego, a na niej wielkimi, czerwonymi plamami naniesione są punkty obrony wybrzeża. Obliczenia i wykresy, nawigatora przędą nić nawigacyjną, która wije się misternie między stanowiskami dział i lotniskami niemieckimi, prowadząc bezpiecznie załogę do dalekiego punktu na mapie, gdzie mają być położone miny. Tylko tam, nigdzie indziej.

Jest to praca długa, żmudna ale bardzo dokładna. Każda zmiana kursu, szybkości i wysokości samolotu, lub różnica temperatury i ciśnienia, natychmiast jest meldowana nawigatorowi, który przerabia je na swoim stoliku, na nowe kursy. Całkowita współpraca załogi w takim wypadku, jest nieodzowna. Jeśli tak jest to się wówczas mówi że "szafa gra". Oto przed nami w dole mknie pospiesznie towarowy pociąg. Jego obsługa nie zdaje sobie sprawy, że gdyby nie miny, to długa nić paciorków z poczwórnych karabinów, bryznęłaby po cysternach z benzyną, lub dachach wagonów wyładowanych amunicją. Nieco dalej przy lotnisku widzimy lądującą niemiecką maszynę. Lecimy na wysokości 800 stóp. Trasa długa, gdyż wynosi około 1700 km. W samolocie cisza. Każdy na swoim stanowisku bojowym stara się jaknajprędzej wypełnić swój obowiązek. Czasami, krótkie urywane zapytania, lub informacje dźwięczą przez mikrofon. Wellington sumiennie pilotowany i nawigowany, nieubłaganie dąży do swego celu. Zbliżamy się do południowego brzegu północno-zachodniej Francji. Zupełny spokój i cisza. Wydaje się jakby wojna nigdy nie nawiedziła tego spokojnego napozór kraju. Zmieniamy kurs i lecimy wzdłuż południowego brzegu. Niebezpieczny skrawek lądu spowity w lekkich oparach pobliskich bagien, złowrogo milczy.

W tem, jak na komendę, z brzegu i z morzarównocześnie prysnęły garściec pocisków, zwłaszcza od morza, z okrętu obrony przeciwlotniczej. Robimy skręt w prawo co przybliżyło nas znacznie do działek i karabinów maszynowych ukrytych gdzieś w ciemnościach lądu. W słuchawkach interkomu zastukały rytmicznie karabiny maszynowe tylnego strzelca. Poskutkowało. Ogień nieprzyjacielski umilkł. Niemieckie nerwy nie wytrzymały. Chwilowe odprężenie i załoga znów powraca do swojej normalnej pracy. Do zwrotnego punktu prowdzącego bezpośrednio do miejsca minowania dwie minuty czasu. Na podstawie obliczonego wiatru, podaję pilotowi poprawiony kurs.

W tem tylny strzelec raportuje – "Ogień z lewa – unik w prawo !"

I znów z nad morza wzbija się w szalonym tempie rój jadowitych żądeł usiłujących śmiertelnie ukłuć swoją ofiarę. Pociski mkną z zawrotną szybkością w naszym kierunku i gasną w dali nie osiągając celu. Tym uchodzimy łatwo, gdyż strzelają zdaleka. Po chwili bierzemy najważniejszy kurs, bo kurs minowania. Położenie samolotu zostało dokładnie ustalone na wybrzeżu. Teraz wszystko zależy od solidności roboty, gdyż miny nie mogą być położone dalej niż 500 yardów od miejsca nakazanego. Są one już odbezpieczone, drzwi bombowe otwarte. Pilot wpatrzony w zegary trzyma kurs, szybkość i wysokość. Strzelcy przywarci do karabinów z palcami na spustach oczekują "zaczepki" od morza, lub lądu. Radio-operator obserwuje powietrze przez wieżyczkę Astro. Nawigator oblicza czas : 10-5-2-1-sekunda – hap ! Kadłub samolotu drgnął i wyrzucił z siebie część ładunku. Po dziesięciu sekundach następna mina oderwała się od samolotu i zniknęła w ciemnościach. Tylny strzelec melduje, że widzi spadochrony minowe. Pilot robi gwałtowny skręt w lewo, gdy w ciemnościach nocy na tle wyłaniającej się wyspy zakwitły ognie i rój różnokolorowych pocisków obsypał samolot. Żółte, zielone i czerwone paciorki, goniąc się nawzajem przemykały błyskawicznie pod skrzydłami i gondolami silników. Niektóre z nich wybuchnęły białymi płomieniami, oświecając kabinę pilota. Tym razem ogień był bardzo skuteczny i obfity. Wellington jęcząc w ostrych skrętach umykał z szybkością 240 mil/-godz. Długo, bardzo długo, trwała następna minuta lotu. Nieubłagane paciorki goniły nas, znacząc swoją drogę ognistymi łukami. Wreszcie wybuchy powstawały coraz dalej w tyle, a ogniste łuki nie dotykając do maszyny tonęły gdzieś w morzu. Gdy wszystko ucichło, po chwili milczenia odezwał się zaniepokojony głos radio-operatora – "Janek, jak się czujesz" ? – "Wyśmienicie" – brzmiała spokojna odpowiedź" – "Myślałem, że ci wieżyczkę urwało" – "zdaje się, że wszystko jest w porządku" – odezwało się jeszcze raz uspakajające zapewnienie i w maszynie znów zapanowała cisza.

Wellington wszedł na swój właściwy kurs. Przechodzimy spokojnie nad Francją, przecinamy Kanał i jesteśmy nad Anglią. Tu bojowy nastrój mija. Nawigator zabiera się do astra i radia, aby nie wyjść z wprawy. Niektórzy popijają gorącą kawę z termosów i żują gumę. Wytwarza się domowy nastrój. Zupełne odprężenie nerwów i poczucie spełnionego obowiązku daje całkowite zadowolenie każdemu z członków załogi.

Wellington drży pod naporem trzech tysięcy koni i czołowego wiatru. Tak bowiem jakoś zawsze się składa, że do bazy lecimy przeważnie pod wiatr na zmniejszonej szybkości. Po siedmiu godzinach lotu lądujemy w bazie. Każdy jest zmęczony i spieszy się jaknajprędzej wyspowiadać u "intelligentnego". Otrzymujemy po miarce rumu, która na głodny żołądek działa jak młot po głowie.

Siedem godzin lotu bojowegio i dwie godziny strzelania nad morzem robię swoje. Teraz tylko spać – – spać !

P.S. – Dwutysięczną minę położyła, niestety, inna załoga.

E. Bohdanowicz.

* Autor przybył do Anglii z Rosji przed niespełna rokiem (Redakcja).

---

8 : 0

Nie trudno było nieznającemu drogi przybyszowi trafić na stadion sportowy przy Bloomfield Road w Blackpool, na którym w dniu 1 *stycznia* 1944 *r. odbył się reprezentacyjny mecz piłkarski pomiędzy drużynami* Royal Air Force (North West), *a zespołem, nazwanym* Polish Forces.

Dziesięcio tysięczne tłumy publiczności przybyły w tym dniu na boisko, by przyjrzeć się grze, oraz by zasilić fundusze charytatywne naszego lotnictwa. Dochód bowiem z imprezy przeznaczony został na użytek Ogniska Polskiego w Ośrodku Zapasowym Lotnictwa Polskiego w B. Szlachetna inicjatywa i dobra reklama meczu zachęciły sportowo wyrobionych Anglików do bardzo tłumnego udziału w imprezie.

Mecz rozpoczął się od przywitania drużyn tradycyjnym przedstawieniem zawodników przez kapitanów drużyn (jedynie) angielskiemu przedstawicielowi R.A.F. zastępcy Komendanta Garnizonu w Blackpool. "*Jeszcze Polska nie zginęła*", *odegrana przez orkiestrę R.A.F. zakończyła część oficjalną.*

★

Grę rozpoczęli Anglicy i szybko ją przenieśli na połowę boiska polskiej drużyny. Drużyna nasza miała się bowiem poznać ze sobą dopiero w czasie gry. Nic więc dziwnego, że akcje polskie były raczej charakteru obronnego z chęcią wyrównania gry.

Wynik meczu 8 : 0 *dla drużyny angielskiej nie odzwierciedla wiernie przebiegu spotkania. Przynajmniej sześć niebezpiecznych strzałów obronił, doskonale i z dużą dozą szczęścia grający, bramkarz Koszuliński. Ale też przynajmniej dwie* 100% *pewne pozycje zatracili nasi napastnicy.*

W pierwszej połowie meczu pole do popisu mieli po stronie polskiej bramkarz, oraz obaj obrońcy, z których Bojar zyskał duże uznanie prasy angielskiej. "Bojar, formerly in Blackpool's championship team, was a brilliant back". *Koszuliński, jak zaznaczyłem, w pierwszych* 45 *minutach meczu obronił efektownie kilka b. trudnych i niebezpiecznych strzałów, zyskując zasłużone uznanie publiczności i ratując tym samym drużynę polską od wyższego wyniku.*

Pomoc drużyny polskiej miała najtrudniejsze zadanie. Matthews, Mortenson, Dodds, Doherty, Pearson oto nazwiska ataku angielskiego. Mówią one same za siebie. Dla orientacji nadmienię, że trzech pierwszych grywa stale ze sobą w ligowej drużynie Blackpool (drużyna ta jest na pierwszym miejscu w Lidze Północnej !). Pearson, Szkot grywający w reprezentacji Anglii ma też swą wagę gatunkowę. Nic więc dziwnego, że w oczach mało znających się na prawdziwym sporcie "kibiców" – pomocnicy nasi nie znaleźli uznania. Wasiewicz pracował niezmordowanie i starał się dokładnymi podaniami ułatwić zadanie napastnikom.

Ofensywna linia polska, złożona z graczy o różnych kwalifikacjach znalazła taką ocenę sprawozdawców angielskich – : "Clever Poles had no marksman", "They served up delightful football, playing almost as well as their opponents, and certainly having as much of the game ; but they could not turn good chances to account – and they had at least four or five of them", "Best scoring chances for the Poles fell to Wolanin and Kamiński. Play was fast and the exchanges interesting to watch".

Że "jedenastka" polska nie strzeliła przeciwnikowi żadnej bramki, a jak niektórzy "ziomkowie" bezpodstawnie liczyli, że zdoła nawet pokonać zespół angielski – nie możemy mieć do nich żadnych pretensji. Gracze nasi dali z siebie wszystko, na co ich w danej chwili było stać. Głosy prasy angielskiej, wyżej zacytowane, są trzeźwą oceną faktycznego stanu rzeczy.

Sędziowie nie mieli trudnego zadania wobec obustronnej gry fair. Podyktowany rzut karny dla drużyny polskiej był słuszną konsekwencją nieprzepisowego zatrzymania Mortensona przez Bedryłę na polu karnym.

Hymn angielski zakończył mecz.

★

Na marginesie imprezy, udanej wybitnie pod względem kasowym i sportowym, a oto organizatorom chodziło, zdać sobie musimy sprawę z niezaprzeczonego faktu, że by być zdolnym wygrywać takie spotkania piłkarskie, trzeba sport uprawiać poważnie. Nie od przypadku do przypadku. Sport zawodniczy wymaga od jednostki doskonałego zdrowia, które usprawnić i osiągnąć można przez żmudne ćwiczenia fizyczne, od których panicznie Polacy stronią. Nie od rzeczy jest nadmienić, że chęć do uprawiania ćwiczeń fizycznych obrzydzić może nieumiejętne instruowanie. Nie zrozumieliśmy jeszcze ważności zagadnienia w tym stopniu, w jakim sport znalazł w armiach brytyjskiej, amerykańskiej czy kanadyjskiej, nie wspominając Niemców.

Poszczególne udane wypadki uzewnętrznienia polskiego sportu na terenie Anglii, że wspomnę tylko okres wojny, miały wyłącznie miejsce dzięki inicjatywie jednostek, niezrażających się napotykanymi trudnościami. Ujawnienie cyfry wydatków, poniesionych na wychowanie fizyczne w lotnictwie polskim, poprze moje utyskiwania na duże niedociągnięcia w tej dziedzinie.

Olbrzymie wymagania fizyczne, stawiane personelowi latającemu przez naturę i warunki, powinny zastanowić odpowiedzialnych za stan fizyczny tego personelu nad obmyśleniem środków do jego podniesienia i utrzymania na wysokim poziomie. Sport musi wypełnić istniejącą lukę i spodziewamy się, że w niedalekiej przyszłości nastąpią zasadnicze i korzystne zmiany.

Alfred Z.

PRZED OTWARCIEM WYSTAWY LOTNICZEJ

Niebawem zostanie otwarta w Londynie Wystawa Lotnicza, która ma na celu :

przypomnienie społeczeństwu brytyjskiemu o dorobku polskiego lotnictwa w czasie pokoju –,
podkreślenie, że polskie lotnictwo walczy bez przerwy od 1.9.1939 –,
zaznaczenie, że pokojowy dorobek i wkład do wojny polskiego lotnictwa przemawia za uwzględnieniem polskiego lotnictwa w planach międzynarodowej współpracy lotniczej –,
uprzytomnienie, że Polska jest predystynowana do tego, ażeby się stała bazą lotniczą Europy Środkowej, zorganizowaną w oparciu o współpracę Polsko-Amerykańsko-Brytyjską.

Wystawa będzie wysłana do najważniejszych ośrodków w Wielkiej Brytanii.

Wszelkie informacje uzyskać można : Inspektorat Lotnictwa, Wydział Kultury i Oświaty, 1. *Princes Row, London, S.W.*1. *Tel. VIC* 1072.

Lotnicy, którzy dotychczas nie nadesłali prac własnych na wystawę mogą to uczynić w ciągu najbliższych tygodni.

Komunikaty

Inspektor Lotnictwa pułk. dypl. M. Iżycki złożył kwotę £. 10, na pomoc dla jeńców wojennych zamiast życzeń świątecznych i noworocznych.

★

Niniejszym donosimy, że autorzy opowiadań z życia Dywizjonu Ziemi Czerwieńskiej, które ukazały się w Skrzydłach Nr. 23/424, *przeznaczyli honoraria na zakup papierosów dla żołnierzy w niewoli niemieckiej.*

Pani Z. Leszczyc zrzekła się honorarium w kwocie 15/- za artykuł dotyczący działalności P.C.K. na rzecz *Funduszu po poległych lotnikach.*

Oficerowie *Szkoły Wyszkolenia Technicznego* złożyli kwotę £. 1, na *Fundusz Społeczny Lotnictwa*, zamiast życzeń świątecznych.

Barak nr 11 *E-Polish Squadron R.A.F. Station W., przesłał* £2 *na paczki dla polskich lotników-jeńców.*

Jerzego Krobeckiego poszukuje Czesław Morawski. Polish Forces P/20.

Humor Krzepi

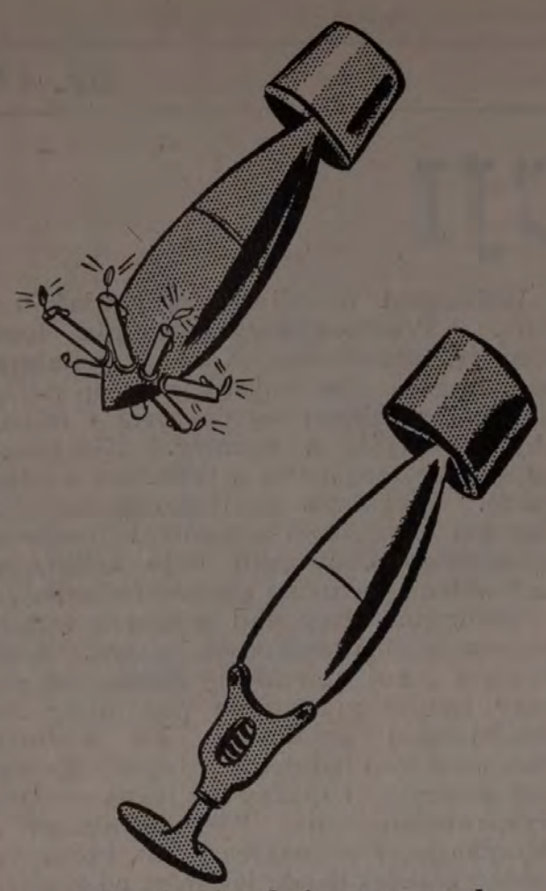

Wynalazki techniczne w oczach małego Stasia
Bomba zapalająca . . .

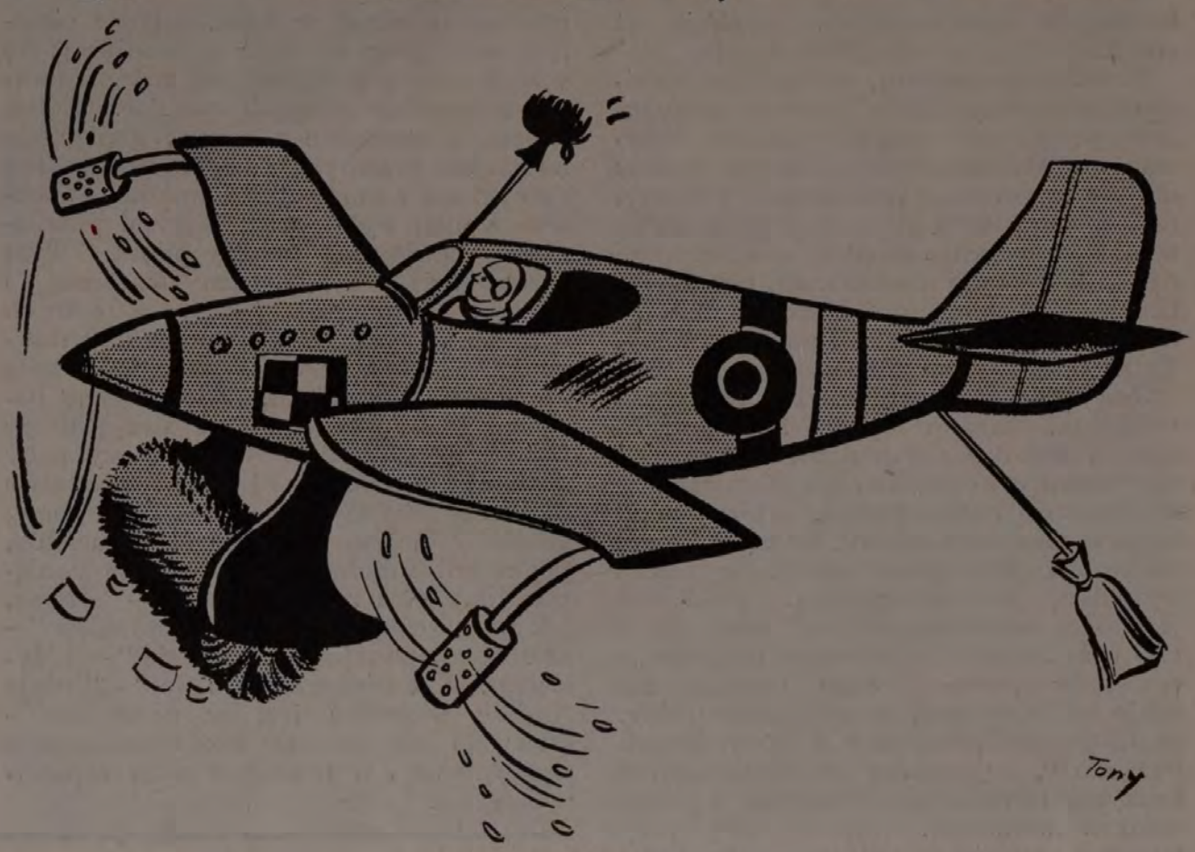

Po wymiataniu . . .

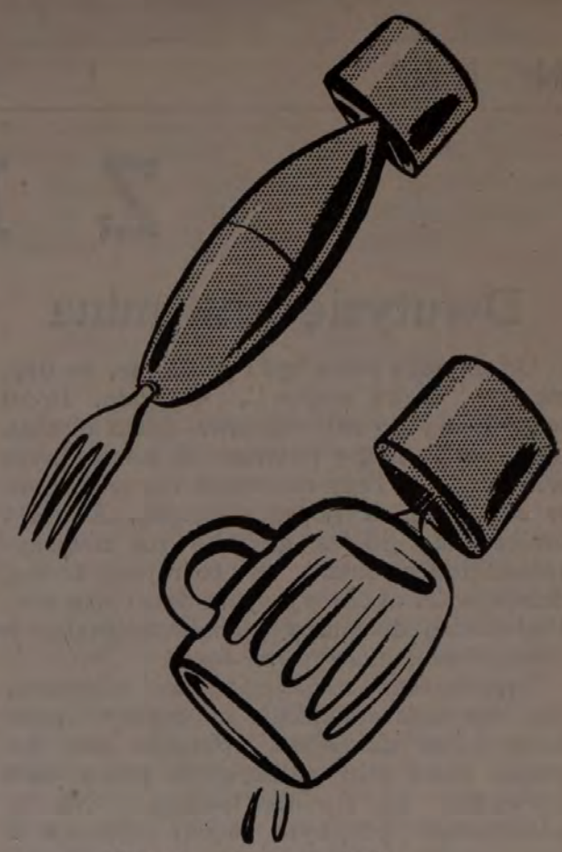

Bomba raz na widelec . . .
Bomba rozweselająca

★

WSPOMNIENIE . . .

– Gdzie mama zaręczyła się z ojcem ?
– Na lekcji tańca mój synu.
– Ach tak. Teraz to już rozumiem, dlaczego ojciec zabronił mi tańczyć...

★

SMAKOSZ

– Wie pan, nigdy nie przypuszczałem, że ten miły szkocki piesek rzuci się na Margo...
– To są skutki kuracji odtłuszczającej. Biedna psina nigdy nie widziała tyle kości...

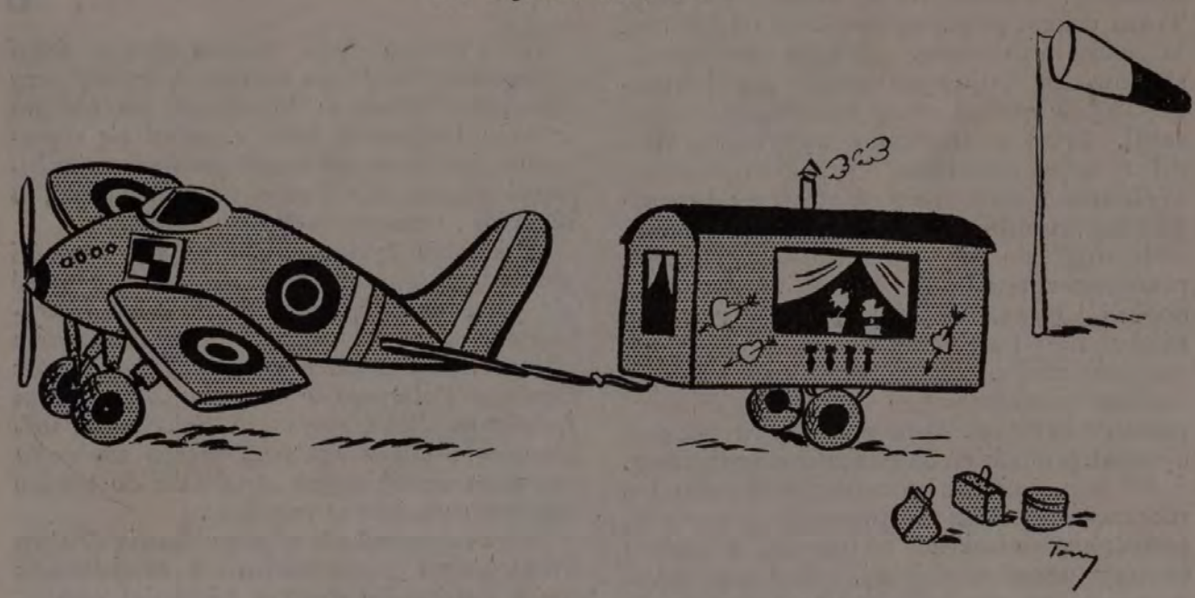

Wyjazd pilota myśliwskiego na week-end . . .

★

" WYGRANY ... "

– Chciałbym się z panem pożegnać.
– Cóż to, wyjeżdża pan – pyta szef dywizjonu.
– Nie, tylko wygrałem 50 funtów na psich wyścigach i przestaję od dzisiaj kłaniać się znajomym...

★

" SPECJALISTA " ...

Lekarz w dywizjonie :—No, a teraz zbadamy pański puls...jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, walet, dama, król, as ! ...

(*słowa i rys :* **Tony.**)

HISTORIA CIAPKA

CIAPEK I MYDŁO

Awans ! Awans ! po obozie
Wieść gruchnęła niby grom –
Ciapek L.A.C. dostaje
A z nim " ration " mydła złom !

Z M.T.Section piękna Wafka
Wolno zwozi cenny dar,
Za nią Ciapek zasmucony
Bo wolności prysnął czar !

CIAPEK I KĄPIEL

Wejdźże Ciapku do kąpieli
Wszak godzinę proszę już !
Ale Ciapek w kąt się zaparł
Ani myśli – ani rusz !

Mam już pomysł – drugi rzecze –
Kamień rzuć na wanny dno !
Że go Ciapek nie dostanie
Zaraz daję funtów sto !

Tego było już za wiele –
Gdy już chcecie to wam dam !
Wszak załoga mi mówiła
Że honoru bronić mam !

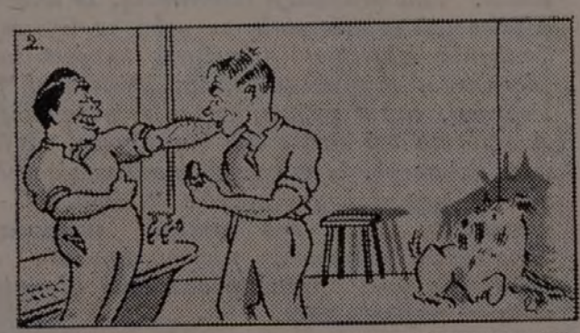

Nim spostrzegli prześladowcy –
Ciapek runął w wanny toń
I co potem się zdarzyło
Strach pomyśleć – Boże broń !

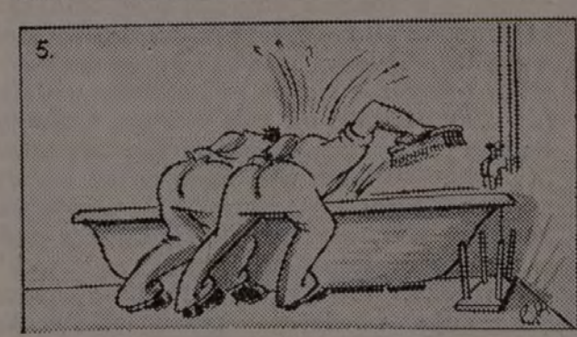

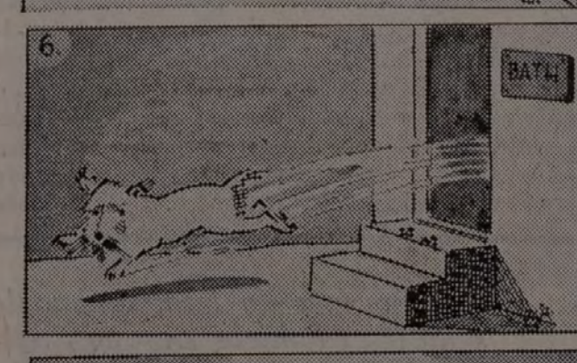

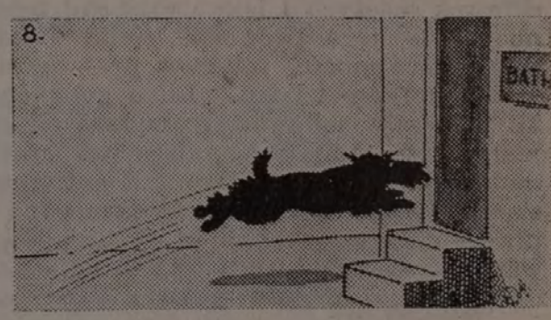

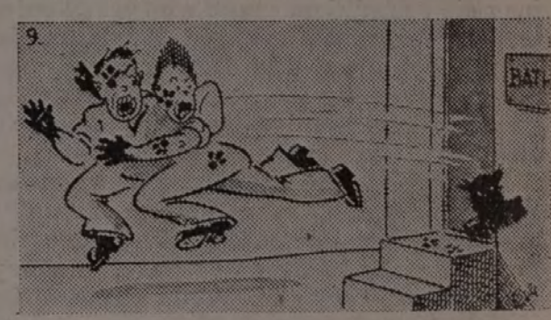

(*słowa i rys :* **Marek Gramski.**)

KTOKOLWIEK z zainteresowanych
Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGIELJĘ Św. JANA w języku POLSKIM, proszę się swrócić pisemnie do
pana S. K. HINE
119 Christchurch Road, London, S.W.2

MEDALIERZY J.K. MOŚCI
Wytwórcy orderów Odznaczeń i medali dla zjednoczonych narodów
SPINK & SON LTD.
Est. 1772
5, 6, & 7 King Street,
St James's, London
Cables : Spink. London.
Tel. : Whitehall 5275 (5 Lines)

ZMIANA ADRESU
Uprzejmie zawiadamiamy naszych PT. Klientów :
Że z dniem 1 listopada b.r. przenieśliśmy biuro i skład :
SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8 Hope Street, West End, Edinburgh.
Tel. 26573.

COLLETTS LTD
Zakłady Krawieckie i Dostawcy konfekcji męskiej dla Polskich dywizjonów
53 SHAFTESBURY AVENUE LONDON, W.1
5 KING STREET, NOTTINGHAM
92/93 NEW STREET, BIRMINGHAM

Dwutygodnik wydawany przez Wydział Kultury i Oświaty Inspektoratu Lotnictwa

Korespondencję adresować : (Editorial Offices) 1, Princes Row, Central Welfare Department, London, S.W. 1. Warunki prenumeraty : kwartalnie z przesyłką pocztową sh. 3/6
Advertising Offices : The Carlton Berry Co., 437 Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W.C. 2. Phone : ABBey 5108.

Printed in Great Britain for Welfare Department of the Polish Air Force by Oliver and Boyd Ltd., Printers, Publishers and Bookbinders, 14 High Street, Edinburgh.